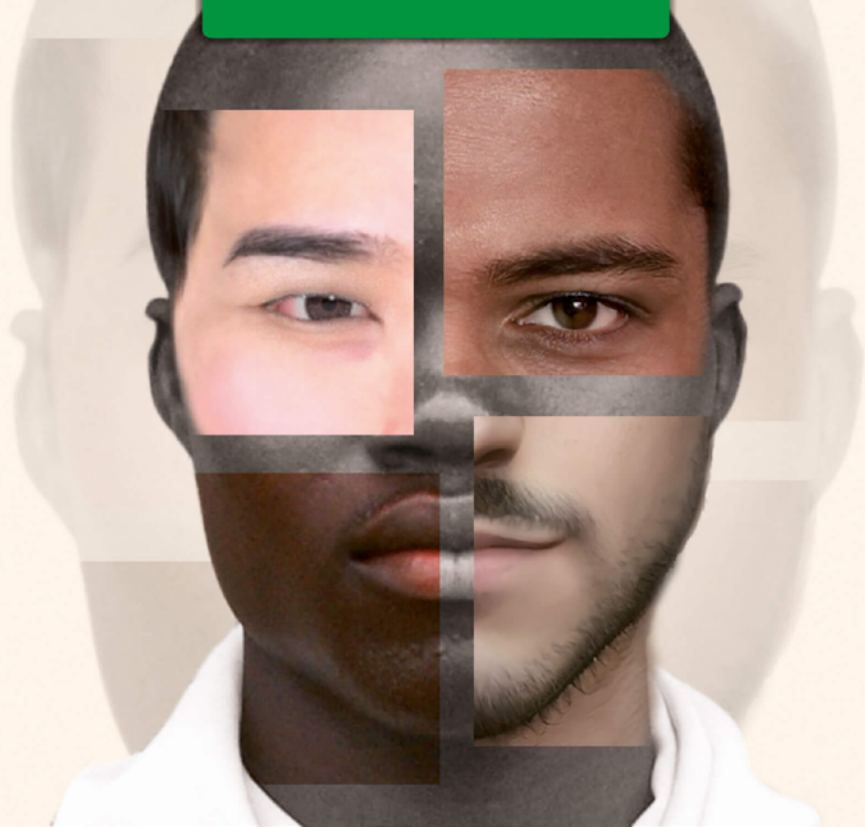


MISJA OCALANIA II

Werbistowskie opowieści
ciekawej treści



MISJA OCALANIA II

Werbistowskie opowieści
ciekawej treści

Kleosin 2023

© Copyright by Biuro Misyjne Księży Werbistów, Kleosin, 2023

PRACA ZBIOROWA:
O. Maciej Baron SVD
O. Anthony Erragudi SVD
O. Andrzej Fecko SVD
O. Krzysztof Grzybek SVD
O. Krzysztof Kołodyński SVD
O. Tomasz Laskowski SVD
O. Dariusz Pielak SVD
O. Andrzej Zalewski SVD

ZDJĘCIA
Archiwum SVD

KOREKTA
be correct – Edyta Chrzanowska

OPRACOWANIE, SKŁAD I WYDANIE
Biuro Misyjne Księży Werbistów
ul. Zambrowska 24, 16-001 Kleosin
tel. 85 747 49 65 www.werbisci-kleosin.pl

Za pozwoleniem władz zakonnych

ISBN 978-83-970947-8-9

DRUK:
Drukarnia Księży Werbistów
Górna Grupa, tel. 52 330 63 77
www.drukarnia-svd.com.pl

O. MACIEJ BARON SVD

Kapłan, werbista, misjonarz Zgromadzenia Słowa Bożego, kaznodzieja, doktor. Lubi patrzeć na świat przez obiektyw aparatu. Prowadzi audycje radiowe. Obecnie proboszcz i przełożony wspólnoty w Bytomiu na wzgórzu św. Małgorzaty.

Miecz w cielsku gadziny ■

Pierwszy raz spotkałem Piotra na początku listopada. Choć spotkać to chyba nie do końca właściwe słowo. Właściwie znalazłem go na cmentarzu. A jeszcze precyzyjniej, znalazł go mój pies. Leżał jak wielki, zeschnięty, listopadowy liść za amboną ołtarza polowego. Na zwykłej tekturze. Ręce schowane w kieszeniach, bo zimno, czapka nasunięta na oczy, przetarta kapota. Tyle było widać. Nie reagował na szczekanie psa, nie odpowiadał na moje wołanie. Przestraszyłem się, że może nie żyje. Musiałem go zostawić, żeby schować psa. Temperatura spadała niebezpiecznie. Było ciemno, zimno, padał deszcz. Podjęliśmy decyzję, że najlepiej będzie zadzwonić na policję. Przyjechali po kilkunastu minutach. Zabrali go. Moja pierwsza myśl: przynajmniej nie zamarznie na śmierć, na pewno umieszczą go w noclegowni.

Wrócił rano. Usiadł w ostatniej ławce kościoła. Dość późno wieczorem pojawił się znów ze swoją tekturą. Zajął miejsce pod dachem polowego ołtarza i ułożył się do snu. Znowu zabrała go policja, obiecując miejsce w noclegowni. Rano był z powrotem na mszy w kościele. Kiedy go obserwowałem, zmiażdżyła mnie myśl, że nie zamieniłem z nim jednego słowa. Zadzwoniłem na policję, uspokoiłem sumienie tym, że znajdzie miejsce w noclegowni, i miałem go z głowy. Tego jeszcze brakowało. Żeby człowiek mi zamarzył pod

ścianą kościoła. Zaraz zleca się telewizory i internety i będziemy mieli kartkę świąteczną, jak się patrzy. Złapałem go przy drzwiach, zastanawiał się, gdzie iść. Zaproponowałem coś ciepłego do jedzenia. Przystał. Zjadł z apetytem. Powiedział, że to pierwszy posiłek na ciepło, ze sztućcami, z talerza, od dawna. Kawy nie pija, ale lubi herbatę. Dostawał ją codziennie. Mały termos z herbatą zabierał ze sobą. Zaczął się otwierać, wyjątkowo dobrze dogadywał się z ojcem Adamem i coraz mniej stawał się bezdomnym spod kościoła, a bardziej panem Piotrem.

Zaczął się Adwent, msza z 7.00 powędrowała na 6.30. Mimo to Piotr codziennie przychodził na mszę, potem zostawał na śniadanie. Któregoś dnia przyjął propozycję przysznica, zmiany odzieży. Po kilku dniach, za namową ojca Adama, przyszedł przed południem. Usiedliśmy przy stole, dostał papier, długopis i napisaliśmy wspólnie list do jego mamy. Wielkimi rękami drobił kolejne linijki. List wyszedł długi. Z prośbą, ze szlochom między akapitami. Minęło kolejnych kilka dni i odezwała się jego mama. Na nic tak nie czekała, jak na ten list od syna. Kupiliśmy panu Piotrowi bilety kolejowe. Podjął decyzję, że na święta chce wrócić do domu. W Wigilię wsiadł w Bytomiu do pociągu. Podjął decyzję zawalczenia o swoje życie. Kolejny raz.

Z naszą wspólną werbistowską i parafialną ze wzgórza św. Małgorzaty¹ przeżył cały Adwent. Codziennie był na roratach, zostawał na najlepsze w Bytomiu kakao, które każdego dnia gotował dla nas ojciec Adam. Ludzie przyzwyczaili się do Piotra i on czuł się na swoim miejscu wśród nas. Widać było, że chce być wśród ludzi, że żywa wspólnota daje mu coś więcej niż tylko towarzystwo. Wydaje mi się, że z nas wszystkich on najowocniej przeżył te grudniowe dni oczekiwania. Widać gdzieś w nim upadło nasionko, któremu pozwolił zakiełkować.

Telefon zadzwonił po godzinie 21. Nazwisko na wyświetlaczu w pierwszej chwili nic mi nie mówiło. Odebrałem i usłyszałem męski głos, a po chwili wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Pan Piotr zadzwonił dokładnie w rocznicę tej nocy, kiedy znaleźliśmy go śpiącego pod kościołem na kartonowej podściółce. Teraz poznałem ciąg dalszy jego historii. Rzeczywistość okazała się trochę bardziej wymagająca niż optymizm i pragnienie zmiany, które niósł w sobie.

Okazało się, że puste miejsce przy wigilijnym stole w tym konkretnym przypadku było pustym znakiem. Drzwi pozostały zamknięte, nikt nie wierzył w to, że coś mogło się zmienić w człowieku, który już kiedyś zawiódł.

¹ Wzgórze św. Małgorzaty w Bytomiu, gdzie znajduje się klasztor Misjonarzy Werbistów oraz prowadzony przez zgromadzenie kościół parafialny.

Zderzenie z rzeczywistością zaowocowało kolejnym upadkiem, szukaniem miejsca na nocleg w miejscach dziwnych i niebezpiecznych, zwłaszcza zimą. Ten adwentowy przebłysk światła zastąpiła dobrze znana ciemność. Słuchając tej rwanej opowieści, słyszałem emocje buzujące w składanych z trudem zdaniach. Było mi niezmiernie przykro, że życie nie zamieniło się w opowieść wigilijną z happy endem.

Po dłuższej chwili ciszy pan Piotr kontynuował. Powiedział, że kiedy znów odbił się od bruku, przypomniał sobie Małgorzatkę. Przypomniał sobie, że może być inaczej, że można doświadczyć bezinteresowności i miłości, mimo że w ludzkim mniemaniu jest się marginesem niezasługującym na zainteresowanie. Zaczął dziękować za wszystko, czego doświadczył u nas w grudniu zeszłego roku, wymieniał poszczególne osoby z naszej wspólnoty parafialnej, współbraci i drobne gesty życzliwości pod jego adresem od ludzi, dla których był przecież obcym człowiekiem. Byłem zaskoczony, jak żywa jest w tym człowieku pamięć dobra. Prosił, by jeszcze raz wszystkim podziękować za to niezwykle grudniowe doświadczenie.

Od dziewięciu miesięcy pan Piotr mieszka w ośrodku dla osób wychodzących z kryzysu bezdomności. To także miara czasu jego trzeźwości. Na koniec powiedział słowa, które mnie z kolei chwyciły za gardło. Że ilekroć czuje się słaby, ile razy pojawiają się znajome demony,

myślą trzyma się wzgórze św. Małgorzaty i jak do tej pory pomaga mu to utrzymać się na powierzchni.

Święta Małgorzata Antiocheńska przedstawiana jest w ikonografii jako depreczająca smoka – demona, z mieczem wbitym w cielsko gadziny. Do naszej kroniki trzeba będzie wpisać kolejne świadectwo skuteczności jej opieki nad tym miejscem i ludźmi, którzy je tworzą każdego dnia.

O. ANTHONY ERRAGUDI SVD

Werbista urodzony w Indiach, który za swoją drugą ojczyznę uznaje Polskę. Tu pracował przez trzynaście lat, z czego w parafii w Kleosinie cztery lata. Barwna postać, pełen zapału kapłan. Od 2017 r. posługuje jako misjonarz w Norwegii, gdzie prowadzi duszpasterstwo dla różnych grup narodowościowych.

Wikingowie w poszukiwaniu wiary ■

Norwegię, kraj fiordów, trolli i wikingów, zamieszkuje około 5,5 miliona ludzi. Jeden z wikingów, Olaf, późniejszy święty i główny patron Norwegii, wyprawił się do Anglii i Francji. Prawdopodobnie w Normandii zetknął się z chrześcijaństwem i w 1014 r. przyjął chrzest. To spowodowało, że stopniowo cały naród przyjął wiarę katolicką.

Kilkadziesiąt lat po chrzcie Polski w 966 r. chrześcijaństwo dotarło do tej części Skandynawii. Norwegia przez długie lata była katolicka – aż do reformacji. Potem z Niemiec przez Danię rozprzestrzenił się tu protestantyzm. Mój nauczyciel języka norweskiego powiedział, że na święta Bożego Narodzenia każdy Norweg to chrześcijanin. Dumnie to brzmi. Statystycznie ponad 70 procent Norwegów należy do Kościoła norweskiego, jednak praktykuje niecałe 10 procent.

Kraj ten długo uważano za protestancki. Różne znaki, symbole, kaplice, kościoły oraz klasztory pokatolickie, często w ruinach, są widoczne w różnych częściach kraju. W 1969 r. przypadkowe odkrycie złóż ropy naftowej w dzień przed Wigilią Bożego Narodzenia spowodowało, że ludzie z wielu krajów świata ruszyli do Norwegii. Norway – droga na północ, po naszymu Norwegia. Wędrówka do tego kraju trwa już od pół wieku. Niektórzy jadą, by zobaczyć noce polarne lub

białe noce, a inni z nadzieją na lepsze jutro. Dla wielu nacji Norwegia staje się drugim domem. Tam, gdzie kiedyś nie było zbyt wiele do jedzenia, teraz panuje zasada, żeby nikt nie umarł z głodu. Los biednego kraju zmienił się drastycznie i to w jedną noc. Poza ekonomią dotknęło to też wiarę, przed którą stanęły dwie alternatywy: albo stanie się bogatsza, albo się ją utraci.

Tylko do katedry św. Olafa w Oslo należy ponad sto narodowości. Cotygodniowo z biura statystyki dostają dane o zarejestrowanych w parafii i kościele katolickim. Nawet szczegółowe informacje o tym, ile osób przybyło w ostatnim tygodniu, ile przeprowadziło się z parafii, ile zmarło oraz z jakich narodowości pochodzą. Najliczniejszą grupą katolików w Norwegii są nasi rodacy. W katedrze msze święte w języku polskim mamy w każdy piątek, sobotę oraz aż trzy msze święte w niedzielę, nie licząc świąt i uroczystości. Większość Polaków mieszka poza Oslo, ponieważ jest to drogie miasto. Ale na katechezę czy mszę przyjeżdżają, pokonując często wiele kilometrów, opłacając opłatę drogową, parking. Wiara się dla nich liczy i chcą ją przekazać swoim dzieciom. Stąd Polacy nie tylko są budowniczymi skoczni na Holmenkollen czy innej infrastruktury w Norwegii, lecz również są iskrą nadziei naszej wiary dla innych, na wielu płaszczyznach.

Dane z polskiej ambasady potwierdzają, że w ostatnich latach do Norwegii przyjeżdża więcej Polaków. Nieoficjalnie pracuje tu ponad 150 tysięcy naszych

rodaków. Kiedy mieszkałem w Polsce, niejednokrotnie zastanawiałem się, gdzie są mężczyźni, bo w kościele widziałem więcej kobiet i dzieci. Trochę humoru! Można sobie zadawać pytanie, gdzie jest bobas? Ale dopiero w Norwegii widzę, gdzie oni są. Raduje się moje serce, kiedy na niedzielnej mszy o 8:00 widzę tylu młodych mężczyzn w kościele, śpiewających pięknie basem i odmawiających różaniec czy Koronkę do Miłosierdzia Bożego, regularnie korzystających z sakramentów. Bez wahania mogę powiedzieć, że jeśli jest 200 wiernych w świątyni, ponad 150 z nich to panowie. Są to widoki bardzo rzadkie w Polsce. Ci mężczyźni dają piękny przykład katolikom i niekatolikom pochodzącym z innych krajów, tym, którzy zwiedzając, czasami przypadkowo trafiają na polską mszę. Dlatego często mówię Polakom, że ich pobyt w Norwegii bardziej niż za chlebem czy pracą jest powołaniem do dawania świadectwa wiary innym.

Od dwóch lat prowadzę Troskurs, czyli kurs dla dorosłych protestantów, którzy chcą świadomie i dobrowolnie przejść na wiarę katolicką. Mam sporą grupę Norwegów, mężczyzn i kobiet, którzy wypisują się z Kościoła norweskiego, czyli protestanckiego, i chodzą na taki kurs. Odbywa się on w języku norweskim. Troskurs to spotkania w grupach lub indywidualne. Ja spotykam się pojedynczo, wtedy łatwiej dopasować czas spotkania. Wszyscy w nim uczestniczący są w wieku od 40 do 70 lat. Mają setki pytań co do naszej

wiary, dogmatów, praktyk religijnych. Poznają różne aspekty naszej wiary, które dla nas są oczywiste, a oni nigdy o nich nie słyszeli. Uważnie słuchają wyjaśnień i dokładnie notują, tak jak dziecko w szkole. Chcą poznać jak najwięcej, w ich obecności również dla mnie cierpliwość staje się cnotą. Podziwiam to, jak oni pilnie się uczą katechizmu, tak jak my uczyliśmy się jako dzieci. W Kościele katolickim akceptujemy ich chrzest, Troskurs koncentruje się natomiast na przygotowaniach do następnych sakramentów.

W trakcie przygotowania mają napisać list do biskupa, uzasadniając powód takiej przemiany w ich życiu. Piszą o sobie, o tym, kto ich przygotowuje, proszą o przyjęcie do Kościoła katolickiego. Ja również wysłałam pismo do księdza biskupa z opinią o danej osobie oraz o jej przygotowaniu. Kiedy obie strony otrzymują zgodę od biskupa, wtedy przygotowuję ich do spowiedzi, komunii św. oraz do bierzmowania i w ten sposób dorosły człowiek staje się katolikiem. W dniu ich oficjalnego przyjęcia do Kościoła na ich twarzach maluje się radość. Na początku miałem duży stres, ale teraz, widząc w tym palec Boży, radośnie śpiewam *Magnificat* za pomoc udzieloną dorosłemu człowiekowi, który jest na drodze poszukiwania Boga.

Mam też dorosłych katolików z różnych krajów, którzy z rozmaitych względów nie przyjęli bierzmowania. Ich przygotowanie wygląda trochę inaczej niż dorosłych Norwegów. Ci ostatni nawet po bierzmowaniu

są w kontakcie ze mną, zadają pytania, by lepiej poznać to, czego nie rozumieją albo jeśli spotykają się z czymś nowym w Kościele katolickim.

Powodem tej zmiany w nich jest na ogół niezadowolone z tego, co się dzieje w ich Kościele. Jak pisał św. Augustyn: „Moje serce jest niespokojne, dopóki nie spocznie w Tobie, Panie”. Niektórzy poinformowali mnie, że w czasie pandemii tylko w naszych kościołach mogli zapalić świece lub pomodlić się prywatnie. Oni doceniają to i chcą wiedzieć, co się za tym kryje. Nie raz nie wiedzą, jak się zachować w kościele w czasie mszy lub nabożeństwa. Stojąc w kolejce do komunii, przyjmują błogosławieństwo kapłana. Krótko mówiąc, nie ma nic oczywistego w ich życiu. Sam nie wiedziałem, że potomkowie wikingów tak poszukują Boga. Informacje o Troskursie często rozchodzą się pocztą pantoflową. Dzięki niej zainteresowane osoby trafiają między innymi do mnie.

Do Norwegii do pracy z Polonią zostałem posłany w 2017 r., wraz ze współbratem. Po trzech latach pracy w katedrze w Oslo przeniesiono mnie do norweskiej parafii, gdzie więcej pracowałem z Norwegami aniżeli z Polakami. Prowadziłem katechezę norweską dla dzieci, od przedszkolaków aż do bierzmowania. Również brałem udział w kręgu biblijnym dla dorosłych – to było bardzo ubogacające doświadczenie. A teraz jestem z powrotem w katedrze, kontynuuję duszpasterstwo dla Polaków i nie-Polaków. I tak motto mojego kapłań-

stwa – „Stałem się wszystkim dla wszystkich”, za św. Pawłem – w dalszym ciągu staje się faktem w moim życiu. Z pewnością mogę powiedzieć, że „jest wielka radość w niebie z powodu jednego nawróconego”.

Módlmy się za ochrzczonych, aby nigdy nie zaniebdywali duchowych owoców płynących z tego pięknego sakramentu. Pamiętajmy w modlitwie o tych, którzy mówią, że ich wiara jest ich prywatną sprawą, lub są ochrzczeni, ale niepraktykujący. Nie osądzajmy innych, ponieważ Bóg jest sędzią sprawiedliwym.

O. ANDRZEJ FECKO SVD

Werbista. Wielozadaniowy misjonarz. Przez 32 lata posługiwał w Angoli. Stworzył tam m.in. nowoczesną klinikę – Centrum Medyczne św. Łukasza, ośrodek dla trędowatych, zakładał szkoły. Kustosz i proboszcz sanktuarium św. Antoniego w Kifangondo. Obecnie pracuje w Portugalii.

Nzeto to placówka misyjna oddalona od stolicy Angoli Luandy o 280 km na północ, położona nad brzegiem Atlantyku. Widoczny jest na niej ślad trudu i pracy moich poprzedników, jej budowniczych – o. Janka i o. Jurka. Klimat jest tu ciężki, tropikalny, z dużą wilgotnością, malaryczny. Miejscowa ludność twierdzi, że wojska kolonialne nie stacjonowały tu dłużej niż trzy lata, po czym następowała wymiana żołnierzy. Pracowałem tam z moim współbratem o. Staszkiem. Był to niespokojny czas wojny domowej – niepewność na drogach, miny. Na naszej misji była też wspólnota sióstr ze Zgromadzenia Misyjnego Sióstr Służebnic Ducha Świętego (SSpS), które współpracowały z nami werbistami w duszpasterstwie i w służbie zdrowia. Mieliśmy także pod opieką wioski oddalone o ponad 100 km na wschód, w regionie Kindeje, gdzie nie mogliśmy dojechać ze względu na niebezpieczeństwa.

Pewnego razu na naszej misji zjawił się regionalny katecheta z tamtego regionu. Przyjechał na starym, rozklekotanym rowerze. Zastanawialiśmy się, ile dni zajęła mu ta podróż, bo był wyczerpany. Powiedział, że przyjechał, ponieważ od lat czekają na misjonarzy. Okazało się, że od 14 lat w tamtejszych wioskach nie pojawił się kapłan, którego tak bardzo wyczekują.

Kindeje to obszar, gdzie FNLA (Narodowy Front Wyzwolenia Angoli) zaczęła walki o niepodległość Angoli i nadal była tam obecna, walcząc przeciwko MPLA (wojska rządowe). Podróż w tamte rejony wiązała się z realnym niebezpieczeństwem. To była trudna decyzja. W tym czasie żeby wyjechać z misji, musieliśmy mieć pozwolenia z policji i bezpieki. Otrzymaliśmy je dzięki jednemu z katechetów, który miał dobre układy z rządzącymi. Mogliśmy się udać z wizytą misyjną do tego zapomnianego regionu. Wyznaczyliśmy termin wyjazdu, oczywiście w tajemnicy przed wspólnotą parafialną. Doradzono nam, aby ze względów bezpieczeństwa jechać w nocy.

Nadszedł czas wyjazdu. Staszek i ja byliśmy kierowcami, razem z nami jechały dwie siostry zakonne i dwóch katechetów. Godzina 24:00, modlitwa, błogosławieństwo i odpaliliśmy silniki naszych land roverów, załadowanych rzeczami na wszelkie przeciwności losu. Po przejechaniu około 20 km asfaltową jezdnią z licznymi dziurami zjechaliśmy w prawo, w nieznaną dla nas kierunek. Picada, droga polna – jeśli w ogóle można ją nazwać drogą – od czasu do czasu przejeżdżały nią tylko wojskowe ciężarówki urale. W świetle reflektorów nie mogliśmy zobaczyć wszystkiego, jedynie wyczuwaliśmy, że wjeżdżamy w tunel zarośli i krzaków. Droga była fatalna, trzeba było szukać miejsca, aby samochód nie zawisł. Tak mijały minuty, godziny, a przed sobą widzieliśmy tylko kilka metrów oświetlonej drogi.

I czuliśmy strach, czy nie usłyszymy grzechotu broni automatycznej. Jechaliśmy w ciemno już ponad cztery godziny – bez GPS-u, bez mapy, choć właściwie nie były nam potrzebne, gdyż nie ma tam rozjazdów i nikt nie informuje, za jaki czas dojedziemy. Pokonanie 100 km zajęło nam ponad cztery godziny. Wraz ze świtem nadeszła nadzieja na dotarcie do celu. W zasięgu wzroku pojawiła się duża grupa ludzi, nie wyglądali na partyzantów. To byli nasi wierni, przemierzali pieszo kilka kilometrów, aby nas powitać ze śpiewem i bębnami. Zatrzymaliśmy się, by się przywitać, rozprostować kości i odreagować po stresie jazdy w nieznaną. Rozległy się słowa pieśni „Bom dia Senhor Padre... nosso superior” („Dzień dobry ojciec... nasz misjonarz”) – katecheci z tamtych wiosek uwielbiają to śpiewane przywitanie. Młodzież, kobiety, mężczyźni, wszyscy w tanecznym ruchu, ze śpiewem i akompaniującymi bębnami ruszyli w stronę głównej wioski Kindeje. Jechaliśmy powoli za nimi. Naszym oczom ukazały się piękne widoki, olbrzymie głązy skalne, jakby jakiś wielkolud poukładał je niesymetrycznie, a między nimi domki z glinianych bloków. Wszędzie czysto i porządek, nie tak jak w miastach. Bogata roślinność, potężne drzewa, góry, trudny dojazd – to warunki sprzyjające rozpoczęciu walk partyzanckich o wyzwolenie kraju.

Dotarliśmy na miejsce, gdzie przygotowano dla nas osobny domek. Rozładowaliśmy przywieziony dobytek, trochę jedzenia, lekarstwa, spiwory i inne rzeczy.

Mimo zmęczenia ustaliliśmy z katechetami plan zajęć. Po krótkim odpoczynku i odświeżeniu spotkaliśmy się w dużej kaplicy, wypełnionej po brzegi wiernymi. Rozpoczęliśmy Mszę św., podczas której, zgodnie ze zwyczajem, w czasie aktu pokuty zaczęliśmy spowiadać. Chór śpiewał, bębny grały, a my spowiadaliśmy – nie wiem, jak długo, dwie godziny, może więcej, nie liczy się czasu, do ostatniej duszy. Po Mszy św. zjedliśmy obiad i udaliśmy się na krótki odpoczynek. Okazało się, że kierowcy i pasażerowie, którzy siedzieli przy otwartym oknie, dostali jakichś czerwonych swędzących plam. Nie byliśmy w stanie zdiagnozować, co to może być, alergia czy coś innego. Dopiero miejscowi wyjaśnili nam przyczynę tych dolegliwości. „Feijao maluco”, dzika fasola, której pędy były zmieszane z krzakami odrapującymi nasze samochody i ręce.

Następny dzień był czasem egzaminów i sakramentów. Przed nami ustawiła się niekończąca się kolejka kandydatów do chrztu. Jakie było nasze zaskoczenie, gdy okazało się, że są świetnie przygotowani do egzaminu. Przez 14 lat miejscowi katecheci nauczali i przygotowywali wiernych w nadziei, że przybędą misjonarze, by udzielić sakramentu. Jak wielką wiarę mieli ci ludzie, aby bez kapłana, bez sakramentów, bez Mszy św. trwać w wyznawanej wierze. Nie zapomnę liczby 360 – tyle było osób przygotowanych do chrztu: młodzież, dorośli i dzieci. Wraz z siostrami spisywaliśmy dane do księgi chrztów. Kolejka do ślubów także liczyła dużo osób, ich

przygotowaniem zajmował się o. Staszek. W międzyczasie siostry dawały porady chorym i też nam pomagały.

W kolejnym dniu udzielaliśmy sakramentów. Nie wiem, ile trwała Msza św., tam nikt nie liczy czasu, a szczególnie spędzonego w kaplicy. Tak upłynęły nam te dni męczące, ale radosne, które do tej pory pamiętam. Pewnej nocy wyszedłem z domku i w niedalekiej odległości zobaczyłem mężczyzn z bronią. Poczułem się strzeżony jak VIP, wróciłem i zasnąłem z myślą, że nikt nie strzela, więc jest spokojnie. Rano dowiedziałem się, że wspólnota wystawiła strażę, aby nas pilnowały w razie ewentualnego ataku partyzantów. To wydarzenie pokazało nam, jak tutejsi ludzie traktują i szanują misjonarzy.

Po kilku dniach opuściliśmy wioski i już w świetle słońca wróciliśmy na naszą misję. Samochody wypełnione były darami: worki z dziwnie pachnącym maniokiem, słodkie ziemniaki, inne produkty i kilka kur powiązanych za łapki. Koza została w wiosce. Ten wyjazd wiele mi dał, przede wszystkim zobaczyłem wielką wiarę i zaangażowanie katechetów. Oni naprawdę są prawdziwymi misjonarzami, prowadzą swoje wspólnoty do Chrystusa przez nauczanie i modlitwę. Oczywiście trzeba dbać o poziom ich wiedzy i to jest najważniejsza sprawa w tamtej rzeczywistości. Ponad 500 lat temu Angola jako jeden z pierwszych krajów Afryki Subsaharyjskiej otrzymała chrześcijaństwo. Później było wiele lat przerwy, a obecna misja katolicka skonsolidowała się

tu pod koniec XIX wieku. Kiedyś na moich wakacjach w kraju ktoś mnie zapytał: jak wy tam nawracacie, a ja nie potrafiłem odpowiedzieć...

O. KRZYSZTOF GRZYBEK SVD

Werbista, misjonarz, znany z niebanalnego poczucia humoru i płomiennych kazań. Pracował przez cztery lata w Rosji – Błagowieszczeńsk, Wołogda. Stąd większość jego opowieści. Obecnie przebywa w Domu Misyjnym w Kleosinie, zajmuje się pomocą osobom uzależnionym. Posługuje w Stowarzyszeniu Pomocy Rodzinie Droga.

Alicja wspominała: „nie za dobrze pamiętam ojca”. Mówiła: „Pamiętam, że się go bałam. Pamiętam, że mama od czasu do czasu nas posyłała, żeby sprawdzić, jak się ojciec miewa. Ja miałam wtedy sześć lat. I to było zawsze takie... z drżeniem serca. Kiedy był trzeźwy, to nas przytulał i wtedy czułam się przy nim bezpiecznie. Wtedy, kiedy już przytulił... ale zanim przytulił, było jakoś tak... niefajnie”.

Najważniejsze wydarzenie związane z ojcem, które wryło jej się w pamięć, pochodzi z okresu, kiedy miała sześć i pół roku. „Mama nas wysłała do domu. Powiedziała do mnie: «Sprawdź, jak się ojciec miewa». Parę dni wcześniej uciekła. Razem z moją siostrą, bratem. Zabrała nas wszystkich do mamy. Do babci – do jej mamy. Bo ojciec znowu wariował. Znowu rzucał przedmiotami. Krzesło rozwalił. Ja miałam iść i sprawdzić, bo ja byłam tą ulubioną. Kiedy weszłam, poczułam ten dziwny zapach. Ja do dziś go czuję. Wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Nie wiedziałam dlaczego. I wtedy zobaczyłam jego nogę. Po nodze ściekała krew. Kapała. Ta noga się tak trzepała”.

Malutka Alicja była świadkiem, jak ojciec się wieształ. Weszła, a on wisiał zawieszony na jakiejś linie. Nogi mu się trzepały. Powiedziała: „Podbiegłam, żeby go złapać. Ja nie wiedziałam, co się dzieje. Nie miałam

pojęcia. Ja tylko wiedziałam, że coś się złego dzieje. I nie podbiegłam, żeby ratować. Nie miałam pojęcia. Nie byłam w stanie. Podbiegłam, żeby się przytulić do tej jego nogi. Myślałam, że on się tak boi. Dopiero za parę godzin zjawił się kolega, który pił razem z ojcem. I to on wezwał wszystkich. On zorganizował pogrzeb. Potem były opowieści babci o tym, że Boga nie ma, że Bóg to wymysł. Tak było w latach siedemdziesiątych–osiemdziesiątych na Białorusi. Potem był Pionier. Posłali mnie do pionierek. Wszystko to łykałam, ale dziwiło mnie, że babcia chodziła na pogrzeby do swoich znajomych. Pytałam ją: «Skoro ty nie wierzysz w tego Boga, to po co łazisz do tej cerkwi prawosławnej, po co? Ty nawet nieochrzczona». Babcia nic nie odpowiadała. Milczała. A potem zaczęła się bieda. Zaczął się głód. Nie było czasami zupełnie co jeść”. Pamięta, że mama czasami przynosiła zgniłe ziemniaki z pola, które kradła nocą.

„Więc postanowiliśmy wszyscy wyjechać. Wyjechaliśmy najpierw do Nowosybirsk. I tam się okazało, że jestem ładną dziewczyną. Tam się okazało, że ładnej dziewczynie dużo płacą za to, żeby nosiła jakieś ciastka, jakąś wódkę. Wystarczyło mieć krótką sukienkę. Wystarczyło się uśmiechać. Wystarczyło dać się klepnąć jednemu czy drugiemu i dostawałaś dużo pieniędzy. I nagle się okazało, że nie jestem głodna, że jest dobrze. Tak się wkręciłam w różne znajomości. Kiedy miałam piętnaście lat, pierwszy raz poznałam smak wódki. Od tego się zaczęło. Straszny szum w gło-

wie, wszystko wirowało. Aż dziw, że z nikim w łóżku nie wylądowałam. Jakoś tak było. Potem było jeszcze więcej wódki. Zaczęłam nawet studia, ale ich nie dokończyłam, bo po wódce bardzo bolała głowa. Bardzo. To się wymiotowało po tym wszystkim. Stwierdziłam, że są lepsze rzeczy niż wódka. Takie zastrzyki. I jak się zrobiło ten zastrzyk, to wtedy wszystko wirowało. Ale wtedy człowiek na drugi dzień czuł się dobrze. I jeszcze przez parę dni czuł się dobrze”.

Opowiadała, że czas jej studiów to był czas narkotyków. „Brałam wszystko co popadnie. Miałam coraz więcej znajomych, coraz więcej towarzystwa. Potrafiłam w dwóch barach, dwóch restauracjach pracować jako kelnerka. Zarabiać dniem i nocą. Zarabiałam mnóstwo pieniędzy, mnóstwo napiwków. I mnóstwo pieniędzy potrafiłam rozdać. Cały Nowosybirsk był mój. A ja cała należałam do niego. Przećpałam śmierć własnej matki. Pewnego dnia zjawił się mój brat – bezdomny, zarośnięty, ale trzeźwy. I zapytał: «Ala, gdzieś ty była?» Ale że gdzie byłam? «Na pogrzebie... miesiąc temu... mama zmarła...» Nawet nie wiedziałam. Pół roku szukałam jej grobu. Kiedy nie mogłam znaleźć, nie wiedziałam, czy jestem na nią wściekła, że się nami nie opiekowała. Czy mi jest smutno, czy mi jest żal, czy mnie boli, czy nie boli. Stwierdziłam jedno: skoro nie mogę znaleźć tego grobu, to...”. Poszła znowu w tango.

Opowiadała, że w pewnym momencie zaczęto z niej rezygnować. Nagle przestała być ładna. Podobno coś

się z jej twarzą stało. Włosy przestały lśnić. Paznokcie zaczęły pękać. „Myślałam: może powinnam brać jakieś witaminy czy coś. Nagle znowu wrócił głód. Zamieszkałam na ulicy. I na szczęście zadzwonił brat. Powiedział: «Słyszałem od twoich kumpli, że nie masz co jeść. No to chodź. Przychodź do mnie. Załatwimy coś». Spotkaliśmy się w barze. Tam żeśmy razem pili. Okazało się, że on organizuje jakąś grupę i wyjeżdżają razem na Ukrainę, na jakieś zbiory. Nie pamiętam, co mieliśmy zbierać. Powiedziałam: «Super, wyrwę się z tego bagna, z tego wszystkiego». Tu ją już wszystko denerwowało, tu ją wszystko bolało. Tu jej nikt nie chciał płacić. Tu wszyscy mówili, że ona już brzydka.

„Brat powiedział: «Jedziemy na tę Ukrainę. Masz tydzień, żeby się ogarnąć». Pomyślałam – o, to jeszcze trzy dni mogę ćpać. A potem się jakoś wykaraskam. Nie pamiętam, kiedy minął ten tydzień. Pamiętam, że obudziłam się szóstego dnia. Gdzieś na jakiejś melinie. Obok leżało kilku facetów. Pełno wódki. Jakieś kobiety, których nawet nie znałam. Przypomniałam sobie, że dzisiaj mamy wyjazd”. Więc wsiadła w tramwaj. Pojechała. Okazało się, że brata nie było w domu. Szukała go po całym mieście i nigdzie nie mogła znaleźć. I wreszcie się do niego dodzwoniła. A on takim spokojnym głosem powiedział: „Przyjdź do tej i tej knajpy”. Przyszła. „Siedziało tam kilku dziwnych ludzi, jakichś takich ze skośnymi oczami. Brat powiedział: «Wiesz, ja nie jadę na tę Ukrainę. Rezygnujemy z tej roboty». Byłam na

niego taka wściekła. Wydałam wszystkie pieniądze. Już nie miałam gdzie żyć. Spaliłam za sobą wszystkie mosty. A on mi mówi, że nie jedziemy na Ukrainę? I co ja miałam zrobić? On był ładny, ogolony, ogarnięty. A ja co? Zaczęłam na niego wrzeszczeć. Nagle ten jeden skośnooki wstał i powiedział: «To my ci pomożemy. Dopóki nie znajdziesz pracy, dopóki się nie ogarniesz, to możesz zamieszkać u nas». Pomyślałam – jakiś psychol. Chce mnie wykorzystać. Zabawne – do dziś ani razu nie wylądowałam u żadnego faceta w łóżku. Nie wiem, jakim cudem, ale tak się stało. Pomyślałam, że ten gość czegoś chce. A on siedział ze swoją żoną, też skośnooką. Nie miałam gdzie pójść, zbliżała się zima. I się zdecydowałam.

Trafiłam do dziwnego domu – tam było czysto. Pierwszy raz w życiu widziałam, co to jest czysto. Nie było kurzu. Były jakieś takie serwetki. Na stole stały kwiaty”. Opowiadała, że siedziała przy nim dziesięć minut i patrzyła na kwiaty, nie rozumiejąc, co w nich jest takiego pięknego. Przyniesiono jej ubranie. „Powiedzieli, że mam się umyć, doprowadzić do porządku, ostrzyć włosy”. Okazało się, że ludzie, u których zamieszkała, byli Koreańczykami. „Mieli troje dzieci. Czwarte w drodze. I tak u nich sobie zamieszkałam. Mieli tylko jeden warunek: «Żyjesz według naszych zasad. To znaczy: nie ćpasz, nie pijesz, wynosisz śmieci, sprzątasz po sobie. Nauczymy cię, co to znaczy sprzątać, myć talerze i tyle. Nic więcej od ciebie nie wymagamy». Zapytałam, ile

muszę płacić. Odpowiedzieli: «Nie jesteś w stanie płacić. Nie masz pracy. Nie płać. Mieszkaj»”.

Dali jej pokoić. „On był jakimś takim dziwnym facetem. Rozkręcał podobno jakiś biznes. Od czasu do czasu gdzieś razem wychodzili. A ja zakochałam się w ich dzieciach. One od samego początku z jakiegoś powodu do mnie lgnęły. Lubiły się przytulać. Lubiły, jak ja im wymyślałam jakieś głupoty. Jakieś bajki im opowiadałam. Wciskałam jakieś kretyństwa. Te dzieci w to wszystko wierzyły. Gdy brałam jakąś lalkę i się wygłupiałam, one się tym cieszyły. A co dziwnego – zaczęły zasypiać u mnie. Przytulone. Na kolanach. Wtedy robiło mi się tak jakoś dziwnie. Ja nie wiedziałam, co to jest. Nie wiedziałam. Serce jakoś krzyczało. Bolało”.

Opowiadała, że spędziła tam półtora roku. Nauczyła się porządku. „Po półtora roku wiedziałam, że ci Koreańczycy są katolikami. I co niedziela wychodzą do kościoła. Czasami zabierali dzieci. I wtedy mi było smutno. Zabierali mi te moje kochane dzieci. Dla mnie to byli bracia i siostry. Dla mnie one były najbliższe. Cieszyłam się, kiedy wracali. Miałam czasami taką tęsknotę pójść razem z nimi. Pewnego dnia zapytałam, czy mogłabym pójść z nimi w te niedzielne popołudnie. Ich mama zapytała: «A chcesz? Wiesz, to pojedziemy do kościoła». «No». «Ale tam jest... wiesz, o co chodzi...». «No zobaczę». I tak pierwszy raz poszłam”. „Z tego wszystkiego pamiętam tylko jedno – Ewangelię. O synu marnotrawnym. Wróć, synu, wróć, ojciec czeka...”

Zdziwicie się, ale powiedziała: „Ja wszystko rozumiałam. Ja wiedziałam dokładnie, o co chodzi. Słuchając tej Ewangelii, stwierdziłam, że to jest o mnie. Ten jakiś dziwny gość, nazywany Bogiem, jest superbogaty i On mnie kocha. A ja jestem na dnie. On chce, żebym wróciła. Dał mi dom. Mam dom”.

Nie wróciła razem z nimi do domu. Powiedziała: „Musiałam połączyć dwa dni po mieście. Dwa dni z tym wszystkim”. Zaczęło ją to mieć. Nic innego z tej mszy nie pamiętała, tylko tę Ewangelię. Gdy wróciła, znowu dali jej jeść. Umyła się. Sama zapytała, o co w tym wszystkim chodzi. Odpowiedzieli jej: «Wiesz, my ci nie potrafimy tak wytłumaczyć. Ale jak chcesz, to w tym kościele są takie spotkania dla dorosłych. Tam ci wszystko opowiedzą». Poszła. I tak rozpoczęła swoje przygotowanie do chrztu.

Trwało to dwa lata. Wspomina: „Po dwóch latach usłyszałam: «Ja ciebie, Alicjo, chrzczę, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego». Znalazłam dom, otrzymałam go od Boga, od Kościoła. W trakcie tego przygotowania do chrztu dostałam pracę. Najęto mnie jako sekretarkę. I pracowałam. Ale wtedy zaczęły mnie dopadać dziwne myśli. Pomyślałam sobie: w Nowosybirsku miałam mnóstwo znajomych, przyjaciół. I dalej myślałam: Jak będę miała dzieci, one będą miały kilkanaście lat, zaczną mi się buntować, ja się będę z nimi kłócić, walczyć – po co mi to? Jak będę miała męża, on będzie mnie zdradzał – po co mi to? Takie myśli mnie zaczęły

nachodzić. Z jednej strony było mi dobrze w tej rodzinie koreańskiej, a z drugiej ciągnęło wilka do lasu. Ile byś wilka nie karmił, zawsze pozostanie wilkiem, dzikim zwierzęciem. Raz pomyliłam drogę i przeszłam przez garaże. Przez ciemną dolinę. Kiedyś w tych garażach poznałam chłopaka. On mi pierwszy pokazał amfetaminę. I krew... Znowu zawrzała. Serce znów uderzyło. Od tego czasu zaczęłam tam chodzić codziennie. Nie do końca wiedząc, dlaczego. Ale już mnie ciągnęło. Spotkałam starych znajomych. Pokazali mi takie kryształki. Powiedzieli: «Jest nowy towar. Fantastyczny. Koi ból. Widzisz światło. I już nie jesteś rozerwany na dwie części». Ja nie chciałam być rozerwana na dwie części”.

Opowiadała dalej: „Wszystko zaplanowałam. Wszystko. Wiedziałam, kiedy idą na nocne czuwanie. Zabrali dzieciaki, ale dwoje zostało pod moją opieką, spały. Kiedy wyszli, odczekałam jeszcze pół godziny. I zwinęłam całą biżuterię, jaką mieli. Wiedziałam, gdzie ją trzymają. Trochę gotówki. Zegarek. I wyszłam. Waląc drzwiami”.

Pieniądze z biżuterii i z tego wszystkiego rozpląnęły się w pół roku. To było pół roku épania, tańców, nic nierobienia. „Poznałam smak tych kryształków. Stwierdziłam, że nie są takie dobre. Znalazłam lepsze. Po tych lepszych człowiek się budził dwa dni później. Wszyscy mnie kochali. A jak przestawali kochać, to trzeba było sprzedać kolejny pierścionek, który miałam. I znowu mnie kochali. Minęło pół roku. Zamieszkałam w tych

garażach. Już nie było na nic. Wszyscy mnie zostawili. Nadeszła zima – minus dwadzieścia pięć stopni, mieszkałam w garażach. Śpiewałam bezdomnym, takim kulawym dziadom, a oni mnie nauczyli, jak przetrwać. Dali mi metalową miskę, do której mogłam wlać wody i się umyć. Umyć twarz. Podobała im się moja twarz. Potem nie miałam już pieniędzy na towar. Zaczęło mnie łamać w kościach, paznokcie znowu zaczęły pękać, włosy wypadać. Już wymiotowałam – organizm się domagał jakiegoś narkotyku. Ale go nie było. Później to już nie było nawet na chleb. I wiecie, co wyżebrałam? O co żebrałam? O żyletkę. Dostałam ją od jednej kobiety – świeżą, z apteki, nową, czystą. Wylałam wodę z miski. Wzięłam tę żyletkę. Wystawiłam rękę. Stwierdziłam, że to koniec. Potem się rozplakałam. Nie miałam odwagi. Żyletka wypadła mi z ręki. Męczyłam się tak przez tydzień. Codziennie brałam tę żyletkę do ręki. Głodna. Spragniona”.

Lizała sople, żeby napić się wody. I co tydzień brała tę żyletkę, ale nie miała odwagi. Pewnego razu, idąc, tak włącząc się, próbując wyżebrać trochę chleba, zobaczyła w oddali krzyż kościoła. Przypomniało jej się całe życie. W tym momencie postanowiła: „Wiem, że to zrobię. Dzisiaj moje życie się skończy. Dzisiaj mnie nakryje ciemność. Byłam pewna. Nie będę czekać do nocy. To będzie w południe”. Wzięła tę żyletkę do ręki. „Nagle otworzyła się brama garażu. Wszedł jeden z moich znajomych i powiedział, że przyszedł do mnie jakiś gość,

który przyniósł kasę. A ja byłam na niego wściekła. Bo on mi przerwał samobójstwo. Ja tu miałam skończyć ze sobą. Co to? Wynoś się! A nie... Poczekaj, poczekaj, poczekaj... Kasę ma. Jeszcze przynajmniej przyćpam. Wtedy będzie mi łatwiej się pociąć. I pobiegłam. W jednej chwili poczułam, jakby ktoś wylał na mnie wiadro zimnej wody”.

Tam stał ten Koreańczyk. „Siostró, ale się ciebie naszukałem. Wiesz, ile ja musiałem łapówek dać wszystkim twoim koleśkom, żeby mi powiedzieli, gdzie ty jesteś. Pół Nowosybirską obszedłem”. „Przytulił mnie. Powiedział: «Ale źle pachniesz. Lecz wróć. Możesz wrócić». Myślałam, że się pod ziemię zapadnę. Gdzieś mi ta żyłeczka spadła. Pomyślałam, że gdybym miała nóż, to w tym momencie wbiłabym go sobie w gardło. «Możesz wrócić. Wiem, że się wahasz...» Odparłam: «Nie... Nie... Tak... Nie...». «Umówmy się tak: ja wychodzę. Za dziesięć minut wracam. Przyjadę tu samochodem. Jeśli wsiądziesz do samochodu, twoje życie znowu się odmieni. Jeżeli nie... to nie. Dziesięć minut». Skłamał. Poleciałam do garażu. Zaczęłam szukać tej żyłeczki. Kiedy ją znalazłam, to stwierdziłam, że teraz to zrobię. Nie wsiądę do tego przeklętego samochodu. Nie. Nie spojrzę mu i jego żonie w oczy. Nie spojrzę w oczy tym dzieciom. Nie ma szans. Mam jeszcze pięć minut. I w tym momencie on wszedł, ten Koreańczyk. Przyszedł pięć minut wcześniej. Zapytał: «Wchodzisz?». Kiedyjechałam z nim samochodem, powiedział jedynie

to, co mówił dwa lata wcześniej: «Są tylko trzy zasady. Jesteś czysta, nie ćpasz, nie pijesz i wynosisz śmieci. Nic więcej»”.

Gdy już się umyła, wytarła, kiedy się już wyspała, zawieźli ją na spotkanie jakiejś wspólnoty, prawdopodobnie Odnowy w Duchu Świętym. „Wszystkich tych ludzi znałam, z połową z nich razem przygotowywaliśmy się do chrztu. Wszyscy mnie przytulali i mówili: «witaj, siostrzo». A potem przeżyłam dotyk Boga. W Rosji też mają Radio Maryja. Pewnego dnia usłyszałam w nim audycję, opowiadano o Bogu. Jakaś taka zwykła konferencja. Ale ja tego słuchałam i się tym karmiłam, słuchałam i z tym zasypiałam”.

Opowiadała: „Zaczęłam się budzić w nocy. O trzeciej. Budziłam się i czułam, że mi strasznie zimno, że zaczynam drzeć. Nie mogłam się opanować. Okrywałam się kocem, kołdrą, drugim kocem – nic. Było zimno jak piorun. Okno było zamknięte, kaloryfer grzał, a było zimno. O szóstej rano – bach! Wszystko przechodziło. Mogłam normalnie funkcjonować. Kolejnej nocy było dokładnie to samo. Trzecia w nocy, ja się budzę z zimna, złana gorącym potem, nie wiem, co się ze mną dzieje. Szósta rano – przechodzi. Pogadałam ze znajomym lekarzem. Powiedział, że nie ma czegoś takiego, żebym wzięła jakieś witaminy. Nabrałam witamin, aspiryny. Tysiące rzeczy. I nic. Trwało to przez tydzień – codziennie o trzeciej w nocy umierałam z zimna. Wreszcie się odważyłam i zapytałam tę Koreankę. A ona odparła:

«przyszli do ciebie». «Kto?» – zapytałam. «Diabeł i Pan Bóg. Przyszli razem. Bo Pan Bóg szanuje twoją wolność. Przychodzą. Pan Bóg ci mówi: wybieraj. Diabeł dotyka cię zimnem. Pan Bóg ci to zimno zabiera. Wybieraj...» Przygotowałam się do spowiedzi. Spowiedzi z całego życia. Przyjęłam Komunię świętą. W tym momencie zasnęłam i spałam trzy dni. Obudziłam się i chciało mi się żyć, chciało mi się kochać. Wtedy klękłam przed moimi braćmi Koreańczykami i powiedziałam: «przepraszam, wybaczcie...». A oni mi odpowiedzieli: «teraz przed tobą nowa droga». Najęłam się znowu do pracy, ale byłam w niej niespokojna”.

Dziś Alicja jest siostrą zakonną. Złożyła wieczyste śluby zakonne. Razem ze mną pracowała w Błogowieszczeńsku. Opiekuje się dziećmi i czasami na urlop jedzie właśnie tam, do Nowosybirsk. Do nich, do tych Koreańczyków. Powiedziała, że to jest jej prawdziwa rodzina.

Nie ma innego sposobu na opowiedzenie ludziom o Bogu jak przebaczenie, jak miłość. Nie ma. Przez półtora roku, kiedy ona mieszkała u tych Koreańczyków, nie usłyszała ani jednego słowa o Bogu, ani jednego.

Ani jednego „chodź z nami do kościoła”, ani jednego nawet „Bóg cię kocha”. Nic. Było tylko: „tu jest twój dom”. Pan Jezus powiedział, że po tym ludzie poznają, że jesteście moimi uczniami, jeżeli się będziecie kochać

wzajemnie. Jeżeli okażecie miłość. Tylko miłość ma moc otworzyć piekło. Ma moc je zgnieść, zabić. Tylko ona. Siostra Alicja nie jest wcale taka święta, taka dobra, ciepła, czuła. Tylko w stosunku do dzieci jest taka. Pozostały jej odruchy narkomana. Bywa krytykancka, trudna, wybuchowa. Ale umie też przyjść i powiedzieć: przepraszam, wybacz. Umie sama powiedzieć: wybaczam, ja byłam na dnie – ty masz prawo do swojego małego dna. Masz prawo trochę poświrować. Bóg nas takimi kocha. Bo chociaż przechodzę przez ciemną dolinę, zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną. Tylko ten umie kochać prawdziwie, kto przeszedł przez swoją ciemną dolinę, kto zobaczył wszystkie swoje grzechy, wszystkie swoje łajdactwa, całe badziewie, tę tak zwaną beznadziejną sytuację, w której jesteśmy. Dzisiaj w Kościele mamy bardzo trudne zadanie do wykonania. Mamy głosić światu Chrystusa. Nie da się tego zrobić słowami, ale da się to zrobić miłością... Da się.

Potajemnie ■

Wieczór, godz. 18.00. Zapaliliśmy znów świece. Wkrótce się zacznie. Starsza pani już stoi w drzwiach. Ona zawsze przychodzi pierwsza. Za oknami gęstnieje mrok. Szybko mknące postacie otulone w ciemne płaszcze i puchowe kurtki migają pod naszymi oknami szarością swych zmarzniętych, smutnych twarzy. Raz

po raz błyskają światła samochodów, rzucając osobliwe cienie na wnętrze naszej ciasnej kapliczki. One tylko na chwilę rozpraszają noc. Kiedy przejadą, kiedy zgaśnie ich światło, znowu nastaje ciemność. Starsza pani podeszła już do ambony. Szeleszczą stare stronicie poszarzałego lekcjonarza. Zaraz się zacznie. Suche wargi poruszają się bezdźwięcznie, kiedy bystry jeszcze wzrok śledzi i wyłapuje z uwagą każdą literę dzisiejszego mszalnego czytania. Zaraz się zacznie. Na ołtarzu stoi już kielich, a na nim biała hostia, cichy chleb, łagodny dotyk Boga, którego szuka co wieczór doświadczona przez życie starsza kobieta. To w Jego dłonie kładzie codziennie swe zmagania i trudy swojej córki. W Jego ciepłe ogrzewa swą duszę i niesie do domu światło, ciepły blask, który rozprasza mroki serc. „Widziałam człowieka, mężczyznę w sile wieku, upadł, nie mógł wstać... Zdziwił się, że jakaś staruszka podbiegła i podniosła go z ziemi z troską i z obawą na pomarszczonej smutkami twarzy.”

Zaraz się zacznie. Staruszka w milczeniu oczekuje na te pierwsze słowa: „Pan z wami. W górę serca. Wznosimy je do Pana”. To dla Niego tu są. To Jego potrzebują i Jego szukają, na to spotkanie pełne delikatności i ciszy, na dotyk czegoś innego niż gwar i krzyk czekają cały tydzień. Pan z wami. Dlatego co niedziela tu przychodzą. Młodzi i starsi, studenci, dyrektorzy i renciści, adwokat i ochroniarz z lotniska – wznosimy je do Pana. Kruszyna chleba, flakonik wina ich tu przy-

ciągają. Dlaczego? Dlaczego w ten jedyny wolny dzień w tygodniu nie pozostać w domu jak tysiące innych? Dlaczego nie leżeć w łóżku? Czego szukacie w ciasnej i dusznej kapliczce, w której pod koniec Mszy powietrze staje się ciężkie i jakby tłuste, gdzie po godzinie już nie ma czym oddychać? Nie mają kościoła. Mają tylko te ciasne cztery ściany. I dwóch księży, którzy przyjmują ich w swoim mieszkaniu. W bloku. W zwykłym osiedlowym bloku.

Patrzą na Niego. Biały chleb, kruszyna dobroci, cicha obecność. Święte milczenie, echo świętych słów: „To jest Ciało Moje za was wydane” – za nas, za porażki i kłamstwa, za pomyłki i zło, za krzyk, gniew i żądzę zemsty, za każdą łzę, która z oka dziecka wypłynęła od założenia świata, za każdy ból i krew rozlaną z nienawiści, za każdą truciznę w sercu młodego człowieka, za każdą śmierć i ból duszy... „To jest kielich Krwi Mojej... która za was... będzie... wylana”. Dlatego tu są. Dlatego tak gorliwie przychodzą. Święta obecność. Przedziwny pokarm. Światło dla serca. Pokój dla duszy. I siła, z którą można iść dalej, siła, która niesie ich przez życie. Moc pokonująca zło. Dlatego tu są. Przychodzą do źródła. Czerpią. I karmią innych. Ogrzewają serca.

„Robię to potajemnie”. „Co takiego?”, spytałem. Moje dziewczyny, wychowanki domu dziecka. Raz w tygodniu prowadzę je do prawosławnej cerkwi. Same by nie poszły. Raz w tygodniu stoję z nimi przed złotymi ikonami Chrystusa i Maryi. Patrzą, jak się modlą. Trudne mają życie. Jedna z nich powtórzyła mi słowa swojej mamy: „Dla mnie wszystko jedno, czy jesteś moim dzieckiem, możesz umrzeć, nie chcę cię”. Patrzą na ich łzy i modlę się z nimi. Raz w tygodniu, potajemnie. Tu panuje wolność sumienia, ale nie wszyscy to rozumieją, nie wszyscy się zgadzają. Szefowa domu dziecka jest wrogiem wszelkiej religii. „Więc jej nie mówię, że stoimy przed ikoną, więc jej nie mówię, że już jestem matką chrześną dziecka, które utraciło miłość i ciepło swej ziemskiej matki”. Widziałem słony ślad gorzkiej łzy na jej policzku. Pani pedagog domu dziecka w Wołogdzie, parafianka rzymskokatolickiej parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, uśmiechnęła się smutno. Zarabia nie więcej jak 600 zł. Co niedziela przychodzi się ogrzać w cieniu tych słów. Pan z wami. W blasku tej świecy. W górę serca. W ciszy Świętego: błogosławieni jesteście, gdy prześladują was... Przychodzi i klęka... Błogosławieni, którzy się smucą... Patrzy na krzyż... Błogosławieni ubodzy... Zadzwonila do mnie wieczorem. „Czy ojciec już wrócił z Czerepowca? Dziś straszny mróz, bałam się, że ojciec zmarznie”. Błogosławieni miłosierni. Tak, wierzę. Mocno wierzę, że moi parafianie są błogosławieni. Bo Pan ukochał ubogich.

Bo Jezus Chrystus ukochał smutnych i pogardzanych. Umiłował tych, których sam znalazł, którzy przyszli do Niego, którzy ufają w Jego dobroć. Ukochał tych, których szuka.

Dzwonek do drzwi. Otwieram. Wyższa ode mnie, barczysta postać patrzy ostrym wzrokiem swych brązowych jak ziemia oczu. Widzę dwugłowego orła na ramieniu, czerwone ozdoby oficerskie. Mundur policjanta. Kiedy rozmawiałem z nim, widziałem zdecydowanie i upór. „Chcę być katolikiem. Chcę się ochrzcić”. Przyszedł potajemnie. Tam, w szkole oficerskiej, źle patrzą na tych, którzy mają coś wspólnego z religią. Mówił tak cicho. Chciałem mu pomóc. Otworzyć drogę, już przecież dostrzega światło. Już czuje Jego blask, słyszy kroki Tego, który się zbliża. Potrzebne jest przygotowanie. „Aby przyjąć chrzest, musimy cię przygotować”. Kiwnął głową. Może się bał? A może po prostu zrozumiał? To nie jest dla niego łatwe. Aby tu przychodzić, musi otrzymać pozwolenie. „Rozerwali mi różaniec. Zabrali i na moich oczach zniszczyli”. On już Go zobaczył. Światłość, która go znalazła. „Proszę ojca, czy mogę o coś spytać? Czy ja mogę... Czy mnie wolno się modlić?” Błogosławieni.

Tak, wierzę, że moi parafianie są spadkobiercami błogosławieństwa ubogich. Bo szukają. Bo pragną czystego serca, bo Boga chcą oglądać w Jego blasku,

chcą radować się Jego pięknem. Chcą cieszyć się Jego ciszą. Tu, w Wołogdzie, mieście 500 km na północ od Moskwy, żyje ponad 300 tys. mieszkańców. Wśród nich są i katolicy. I ci, którzy katolikami pragną się stać. I wielu ludzi poszukujących Boga. Często trafiają do sekt. Bo tego pragnienia z serca nie da się wyrwać. Głodu życia, wartości większej i trwalszej niż konto w banku. Nie da się usunąć z serca ludzkiego pragnienia miłości, nadziei, która ma prawo ufać. Miłości nieśmiertelnej. Ufności, która z odwagą patrzy na cierpienie, ból, która nie klęka przed złem, która zło pokonuje.

Bóg kroczy. Idzie przez nasze życie do naszych serc. Woła i kołacze, klęka i myje nasze nogi. To chcemy im dać. Jego miłość. Garstce tych, którzy tu przychodzą co niedziela lub raz na pół roku, tym, którzy przychodzą tu z pytaniami i ze łzami, tym, którzy są głodni słów pełnych ciszy, pełnych świętości, głodnych chleba, który nie wysycha, lecz staje się pokarmem duszy. Nie tylko w Wołogdzie łamiemy ten chleb, nie tylko tu rozbłyska to światło.

Czerepowiec, 130 km dalej. Przemysłowe miasto. Tam nawet ciasnej kapliczki w mieszkanku nie ma. Garstka katolików gromadzi się wokół zapalanej świecy stojącej na podrapanym, chwiejącym się, niskim stole. Co sobota w godzinie miłosierdzia stawiamy na nim krzyż. Nastaje cisza. Za krzyżem stoi kielich. Pan z wami. I tu, w Czerepowcu, w byłej kotłowni, gdzie

przychodzi katolikom zbierać się na Mszy św., Chrystus przychodzi, patrząc z wysokości krzyża. Spogląda z wysokości białej hostii. Widzi ich serca, widzi życie pełne niepokoju i trosk, widzi sumienia, które pragną czystości, widzi starania i pracę nad sobą, widzi ich wiarę, która jaśnieje, choć małym, to jednak jasnym blaskiem w szarości i warkocie hucznego miasta i zabieganego społeczeństwa. Tu, w tej kotłowni jest ich kościół. Przy tym małym stolicku, nad którym trzeba się pochylić, by zapalić świecę, jest ich katedra i chór, jest ogień, który ogrzewa ich serca i wskazuje drogę. Drogę do Domu. Do Ojca, który czeka. I woła. Krzyczy słowami swego Syna, szepcze ustami kapłana: błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości... albowiem będą pocieszeni.

Jeszcze parę miesięcy temu było ich tylko dwóch. I zdawało się, że ten blask jest taki mały. Modlitwa tak niedostrzegalna. Chwała Ci, Panie. I cześć Tobie, Trójjedyny, za blask świecy, którą możemy co dnia zapalać, wspominając Twoją obecność. Już 19.00. Kolejny samochód wjechał na plac, przywożąc strudzonego całym dniem pracy kierowcę. Starsza pani się uśmiecha. „Dziękuję ojcu. Tak mi znowu jakoś lżej. Dziękuję”. Idzie do domu. Do swej córki. Mija latarnię i płot. Jej oczy na chwilę zatrzymują się na pobliskim budynku. Wzrok z ciepłym uczuciem przywiązania obejmuje ceglana budowlę o dużych drewnianych drzwiach. Jest w tych murach coś bardzo znajomego, cennego, drogiego

sercu. Wysoka wieża wznosi swe ramię w niebo jakby ręce do modlitwy. Wzrok mimowolnie zatrzymuje się na jej szczycie. Dawno temu ściągnięto stamtąd krzyż. Dawno temu katolikom w Wołogdzie odebrano kościół. Ich kościół, który stoi zaledwie kilkadziesiąt metrów od mieszkanka, gdzie się modlą. Każdego dnia go mijają, każdego wieczoru patrzą na niego z okna. Jego święte milczące wnętrze kryje dziś stoliki, krzesła, scenę i garderobę. Tam pracują kelnerki i kucharze. Zabrano go katolikom. Uczyniono zeń restaurację. A jego majestatyczna wieża, wyciągając się nad przechodniami, milcząc opowiada historię: o zgiętych kolanach, o łzach spadających na ziemię, o ostatniej drodze do raju tych, którzy się tu modlili. Pamięta każde zdrowaś Maryjo, pełna łaski... i niepowtarzalną ciszę dziecięcego serca, które pierwszy raz przyjęło biały chleb, ciepły dotyk Boga. Przeżegnała się i poszła do domu. Powiedzieli im, że mogą sobie ten kościół kupić.

Zapada cisza. Miasto zasypia. Ciemne niebo. Jutro znowu przyjdzie starsza pani. Znowu połamiemy chleb. Jeszcze raz spojrzymy na krzyż. I wzniesiemy serca.

O. KRZYSZTOF KOŁODYŃSKI SVD

Misjonarz Zgromadzenia Słowa Bożego. Pięć lat pracował na Madagaskarze. Obecnie europejski i krajowy koordynator ds. komunikacji w strukturach Misjonarzy Werbistów. Współtwórca projektu „Równoleżnik M” – bliżej świata, bliżej człowieka, bliżej Boga! (www.rownoleznik.werbisci.pl). Jego ulubioną formą dziennikarską jest reportaż. Pasjonat kultury i historii Madagaskaru.

Wzgórze Maryi ■

Rok 2009. Madagaskar. Diecezja Ambatondrazaka. Parafia werbistów pw. św. Tamaro (Anosindrafo). Razem z o. Louisem poprosiliśmy o spotkanie z biskupem. Mój proboszcz wpadł na pomysł budowy grotty maryjnej. Dobry zwyczaj malgaski mówi, że w takiej sprawie warto poradzić się kogoś, kto jest autorytetem. Wiadomo, że z poparciem głowy lokalnego Kościoła sprawy mogą pójść szybciej. Wiemy już również, że nasz pasterz lubi wiedzieć, co dzieje się na jego podwórku. Jesteśmy tu od roku i nie mamy szerokiego rozeznania. Podejmujemy zgodną decyzję o podzieleniu się naszymi planami z ordynariuszem diecezji.

– To szalony pomysł budować grotę na tym wzgórzu! – Gestykuje nerwowo rękoma i bez kozery, w emocjach, oznajmia nam swoją opinię bp Antoine Scopelliti OSST. – Rozumiem, że pomysł jest szczytny, ale muszę wam opowiedzieć o staraniach mojego poprzednika. – Łapie się za czoło, wzrok kieruje na pusty stół stojący nieopodal i najwyraźniej próbuje zebrać myśli. – To w sumie interesujące, że na grotę wybraliście to samo miejsce, które wskazał pierwszy biskup diecezji Ambatondrazaka, bp François Vollaro OSST.

– No tak! – Louis podrywa się i próbuje wykorzystać ten fakt, aby przeforsować swój pomysł. – To

jedyny teren i wzgórze tak położone, że widać z niego zarówno nasz parafialny kościół, jak i piękną panoramę północnego wzgórze, które jest częścią kończącego się miasta Ambatondrazaka.

– Biskupowi Vollaro nie udało się jednak nic tam wybudować! – Przekonuje nasz ordynariusz. – Tam jest kilka dawnych grobowców, a sąsiednie, mniejsze wzgórze owiane jest historią związaną z dawnymi kultami. Ludzie panicznie boją się tam wchodzić, więc budowa groty akurat w tym miejscu to chyba nie najlepszy pomysł. Po co cokolwiek budować, jeśli nikt nie będzie tam chodził?! – pyta nasz przełożony.

– Damy radę! – Nie czekając długo, ciszę przerywa inicjator pomysłu. – Wstępnie zapytałem przedstawicieli wiosek należących do naszej parafii Anosindrafo. Zareagowali bardzo entuzjastycznie na możliwość posiadania takiego miejsca na terenie parafii. Nie wiedzą, jak mogą pomóc, ale już nad tym myślałem. Ustaliliśmy, że koszt całego przedsięwzięcia podzielimy równo na wszystkie osiem wspólnot parafialnych. Nie potrzeba nam koniecznie pieniędzy, wystarczy skupić się na zdobyciu budulca. Każda wioska może zorganizować odpowiednie ilości piasku, belek, desek, gwoździ. – Rozpalał całe przedsięwzięcie w swej wyobraźni o. Louis. Wyciągnął kartkę papieru z gotową rozpiską rodzaju materiałów i ilości sztuk, które przypadają na każdą wspólnotę.

– A skąd weźmiecie granitową kostkę? Bo z tego, co tu widzę, to ona będzie głównym materiałem. – Badawczo pyta biskup.

– Księżę biskupie! Tu pomyślałem, że każda wioska będzie własnoręcznie wyrabiać i wypalać cegły z ziemi. Tutejsza cegła jest na tyle popularna i jest na nią stałe zapotrzebowanie, że będzie można ją łatwo sprzedać i za te pieniądze kupić kostkę granitową. – Rozwiewa kolejne wątpliwości biskupa mój współbrat.

– I nazbieracie na to półtora miliona ariarów, który widnieje o tutaj!... W bilansie listy?! – Energicznie palcem wskazuje biskup Antoine na wymiętoloną już nieco kartkę.

– Zobaczymy, jak to pójdzie. – Ze spokojem w głosie odpowiada Louis. – Dzwoniłem do naszego przełożonego werbistów w Mananjary. Wstępnie obiecał wesprzeć budowę grotty. Spodobał mu się również nasz pomysł i mówił, że wyjaśni nam później, dlaczego. W razie gdyby któraś z wiosek nie dawała rady, to wsparcie naszego przełożonego może być naszym zabezpieczeniem. – Nie poddaje się badawczej i podającej w wątpliwość postawie biskupa mój proboszcz.

– A ty, Krzysztofie, co o tym myślisz? – pyta biskup, wrywając mnie z własnych rozmyślań. Jakby czytał w mojej głowie, że też stoję przed decyzją, czy popieram tę inicjatywę, czy nie. Patrzę na Louisa, który również czeka na moją opinię.

– Całość wydawała mi się zbyt naiwnym pomysłem, patrząc na problemy niektórych naszych wiosek, ale po tym, w jaki sposób to przedstawił Louis, myślę, że można śmiało zaryzykować. – Spoglądam na Louisa, który chyba jest jeszcze bardziej zdziwiony z mojej dość przychylniej postawy. Ostatnio nie było nam po drodze w wielu kwestiach. – Oprócz wielkiego wyzwania, przede wszystkim finansowego, to może być wspaniała akcja jednocząca i angażująca wszystkich naszych wiernych. Jeśli całość przedsięwzięcia ma być na cześć Matki Bożej, to z pewnością Ona sama znajdzie sposób i nam pomoże – wypowiedziałam te słowa i sam się dziwię, że tak składnie zakończyłem moją opinię.

Zapada głęboka cisza. Słysząc, jak biskup zbiera się do podsumowania naszych rozważań. Łapie głośno oddech. Gdy jednak już ma rozpocząć mowę, zatrzymuje się. Nabiera powietrza na nowo. Znowu cisza.

– No, jeśli rzeczywiście by wam to się udało... – wydobywa w końcu pierwszą część swojej wypowiedzi – ...to byłoby wydarzenie znaczące dla wszystkich naszych pięciu parafii z miasta... – Wyciąga wskazujący palec prawej ręki do góry, a po chwili śmiesznie przytyka go do nosa.

Spotykam się wzrokiem z Louisem. Wymieniamy spontanicznie skryty uśmiech. Biskup najwyraźniej został przekonany do tego odważnego projektu.

– Dobrze! – Budzi się z zamyślenia nasz pasterz. –
Macie moje błogosławieństwo! Proszę informować
mnie o każdym etapie konstrukcji. Może znajdą się
jakiś środki i będę w stanie was wesprzeć. Muszę się
jednak najpierw przekonać, że coś z tego rzeczywiście
się uda – dodaje w charakterystyczny sobie sposób.
Jak na Sycylińczyka przystało.

* * *

Po tym spotkaniu mój współbrat wystrzeliwuje jak
z armaty. Zaraz zwołuje, w trybie pilnym, spotkanie
wszystkich rad wioskowych. Zebranie organizujemy
w wiosce Ambohitsiroa. Nie bez powodu tam. Wiemy,
że tamtejszy przewodniczący wspólnoty jest bardzo
bierny i zapewne wystraszy się obowiązków i całej
organizacji, którą musimy podjąć w związku z budową
groty. Planujemy, aby widząc opinie innych, bardziej
się zmotywował i dowiódł, że jego funkcja to nie tylko
zbieranie chwały, lecz także aktywna posługa dla dobra
wiernych przynależących do jego miejscowości.

Przewodniczący Ambohitsiroy zaskakuje nas bar-
dziej, niż tego się spodziewamy. Po prostu nie zjawia
się na spotkaniu. Jest to dla nas znak, że przy okazji
tego projektu trzeba odświeżyć całą radę wspólnoty.
Zjeżdżają się wszyscy przewodniczący, ich zastępcy,
skarbnicy i katecheci. Louis opowiada o rozmowie
z biskupem i jego ostatecznym błogosławieństwie.

– Jak jednak zdobędziemy wszystkie te materiały do budowy? – Z lekką paniką zapytuje przewodniczący z Ambohidehilahy. – U nas w okolicy nie ma żadnego piasku. Wioska położona jest na terenach już podmokłych, u stóp rozpoczynających się zalewisk należących do jeziora Alaotra.

– Możemy udostępnić wam piasek od nas. – Odważnie deklaruje katechista z Ambohiboatavy. – A wy nam odstąpicie drewniane żerdzie, których nie brakuje w lesie położonym na wzgórzu przy waszej wiosce.

– Tak! To doskonały pomysł – potwierdza proboszcz. – Inne wioski również w ten sposób mogą się wspomóc, jeśli będą miały niedobory któregoś budulca.

– A co z granitowymi kamieniami? – pyta skarbnik z Antanjony. – Za co je zakupimy, skoro nasze wszystkie oszczędności odkładamy na budowę nowego kościoła?

– O tym też już pomyśleliśmy – włączam się do dyskusji. – Musimy stworzyć w każdej wiosce grupy, które poświęcą swój czas na produkcję lokalnej, malgaskiej cegły. Za pieniądze zdobyte z jej sprzedaży będziecie mogli nabyć materiały z listy, o których wiadomo, że musimy kupić je za gotówkę: gwoździe, cement i granitową kostkę.

– Nie zamartwiajmy się na zapas. – Próbuje pozytywnie motywować wszystkich Louis. – Biskup i nasi przełożeni obiecali nas wesprzeć. Na początku to jednak sami musimy ruszyć całą machinę współpracy.

Po tym spotkaniu na terenie całej parafii Anosindrafilo aż huczy już tylko o budowie groty. Wieść rozchodzi się nawet po mieście Ambatondrazaka. A ludzie lubią takie nowinki. Od tego momentu, przy różnych okazjach zakupów na mieście, tu i ówdzie ludzie będą zaczepiać nas i pytać o bieżące szczegóły.

Przyznam, że wszystkim nam udzieliła się swego rodzaju gorączka. To, co Malgasze zwą *maresaka*, czyli jakaś większa nowinka, coś ekscytującego i ważnego. Maresaka to teraz w mieście wspólna akcja budowania groty w miejscu dobrze kojarzonym przez wszystkich. Od tego momentu jakakolwiek obecność pastoralna w wioskach będzie dotyczyć tematu budowy i jej kolejnych etapów. Zaplanowaliśmy nawet specjalne modlitwy w intencji budowy groty. Przy każdej okazji błogosławimy tych, którzy coraz radośniej włączają się we wspólne wysiłki.

* * *

– I jak tam wizyta w Ambohitanibe? – zapytuje Louisa w drodze powrotnej po zjedzonej kolacji u ludzi.

– Jest chyba dobrze – oznajmia bez większych emocji. – Nasza szkoła zaangażowała się w zbiórkę piasku w najbliższą sobotę.

– A kiedy ruszamy z pracą na wzgórzu? Masz już jakąś ekipę na oku? – Próbuję wydobyć od niego plany na kolejne kroki.

– Nie będzie żadnej ekipy! – odpowiada krótko.

Tak czułem, że coś znowu wymyślił. Intuicja mnie nie zawiodła, że jak zwykle robi coś po swojemu. Tym razem naprawdę mnie zaskoczył.

– Nie chcę powierzać tej budowy w ręce żadnej firmy budowlanej – wyjaśnia. – Jeśli ludzie przestaną czuć, że to jest ich inicjatywa i ich dzieło, to praca i zaangażowanie wielu z pewnością szybko się skończą.

– W sumie racja... – Jestem bardzo zaskoczony, bo jego sposób myślenia rzeczywiście może zatrzymać to, czego wiele razy doświadczyliśmy. Jeśli pokażesz ludziom za dużo, że dajesz sobie radę np. z zewnętrznym dofinansowaniem, to szybko potraktują to tylko jako projekt *mompera* (misjonarzy). – Ale wiesz, że budowa grotty to nie jest to samo, co *trano gasy* (tradycyjny małgaski dom). Musimy mieć kogoś, kto pociągnie to w fachowy sposób.

– Jutro jadę do Ambonivohitry. Katechista mówił mi o jakimś ich zdolnym murarzu – oznajmia. – Jedna osoba wystarczy, a nasze wioski będą organizować listy ochotników, którzy będą pracować i wymieniać się jako jego pomocnicy.

Coraz więcej tych list, rozpisek. Czy nasi wierni to wytrzymają? Jeszcze te nowe wybory rady w Ambohit-siroa. Tam jeszcze żadna zbiórka budulca nie ruszyła. – Takie i inne myśli krążą mi po głowie.

– Masz już gotowy plan budowy? – pytam badawczo współbrata.

– Nie, ale Kaleba, nasz przyjaciel i budowlaniec ze stolicy, obiecał niedługo przysłać swoją propozycję – odpowiada z totalnym spokojem. – W przyszłym tygodniu chcę rozpocząć ciosanie wzgórza i budowę rusztowań. Narzędzia wstępnie kupimy za nasze pieniądze. Czy możesz się zająć ich zakupem? – rzuca niespodziewanie.

– Dobra – odpowiadam zdziwiony, że zostałem jednak „zatrudniony”.

* * *

– Bum, bum, bum! – Ktoś dobija się do naszych drzwi zaraz po śniadaniu.

– Ojcowie! Nie jest dobrze! Och! – Słysząc urywany głos jednego z naszych parafian.

Louis otwiera drzwi, a przed nami stoi wystraszony katechista z Anosindrafo, nasz bliski sąsiad.

– Co nie jest dobrze? – Louis próbuje udawać zdziwionego, bo już jest zaprawiony i nie w jego stylu jest poddawanie się panice wprowadzanej przez innych.

– Ta szopa, którą wybudowaliśmy na przetrzymywanie narzędzi na wzgórzu... – Urywa zdanie, bo brakuje mu tchu.

– Coś się z nią stało?! – wykrzykuje, bo znam wartość zakupionych narzędzi. – Coś już zginęło?!

– Nie, ale w nocy nikt przy niej nie stróżował – wyjaśnia. – Ci, co obiecali, bali się nam odmówić i wytrzymali tam jedynie godzinę, a potem zwyczajnie nawiali. Wezwali mnie rano do nich na wioskową naradę. Powiedzieli, że nie ma mowy, aby ktokolwiek zgodził się na przebywanie w nocy na wzgórzu. Boją się ingerencji rozgniewanych duchów przodków.

– No przecież nie możemy zostawiać tych narzędzi bez pilnowania. – Skwaszony przemawia proboszcz.

– Oni też są tego zdania – oznajmia katechista, wiedząc, że ta informacja nas nie uspokoi. – Kazali mi przekazać, że są gotowi każdego dnia zwozić wszystkie narzędzia i kolejnego dnia wwozić je *kubotą* (minitraktor produkcji japońskiej) na wzgórze.

Takich i innych zdarzeń nie brakowało. Wspólna praca pokazała nam, jak reagują ludzie wobec różnych wyzwań. Zapewniliśmy sobie i wiernym również duchowe wsparcie w działaniu. Co parę dni to w jednej lub kolejnej wiosce odprawialiśmy Msze święte ze szczególnie podejmowaną intencją o błogosławieństwo przy budowie grotty maryjnej w dystrykcie Anosindrafo.

Czasem odprawialiśmy nabożeństwa maryjne z procesją figury Matki Bożej z Lourdes. Innym razem odmawialiśmy różaniec. Te duchowe zastrzyki bardzo dobrze uzupełniały różne lęki i braki w organizacji.

Niesamowite było, że kilka wiosek podjęło naprawę szczerą i wspaniałą współpracę. Pomagali sobie w transporcie budulców i dyżurach przy murarzu.

* * *

Pewnego dnia zaskoczyły nas kobiety z grupy MDMK (skrót z j. malgaskiego: *Mpiray dinidinika miaraka amin'i Kristy* = grupa „Jedno z Chrystusem”). Przyszły ze swoimi koleżankami z dwóch innych parafii w mieście z niespodziewaną propozycją.

– Drodzy ojcowie! – Rozpoczęła przewodnicząca z parafii katedralnej. – A może już czas zacząć modlitwę na wzgórzu? – rzuciła słowa, po których nas zatkało.

– No tak! – Zareagował, podrywając się entuzjastycznie z miejsca Louis, nie kryjąc przy tym zaskoczenia. – To jest myśl! Świetny pomysł. – I od razu rozpoczął planowanie pierwszych modlitw na wzgórzu.

Niesamowicie nas ta propozycja ucieszyła. To, że pochodziła ona spoza naszej parafii, dobrze rokowało na przyszłe korzystanie z tego miejsca. Ciekawe było, że naszą inicjatywą żywo interesowały się maryjne grupy we wszystkich pięciu parafiach miasta Ambatondrazaka. W sumie to dzieliliśmy się kolejnymi etapami prac nie tylko z biskupem, lecz także na cotygodniowych spotkaniach ze wszystkimi kapłanami z miasta. Normalnie kapłani pracujący w Ambatondrazace spotykają się w każdy poniedziałek o godzinie 10.00. Sytuacja z niespodziewaną propozycją modlitwy na wzgórzu

sprawiła, że poczuliśmy się tak, jakby sama Matka Boża upomniała się już o tę modlitwę. Głos przyszedł od Niej niejako z zewnątrz, od ludzi z innych parafii w Ambatondrazace.

Po modlitwie na wzgórzu prace szły jeszcze sprawniej. Pokonaliśmy nawet dosyć szybko bolesne historie związane ze zmianą całej rady we wspólnocie w Ambohitsiroa. Katechista zamiast animować ludzi do zbierania środków, znikał albo zniechęcał innych. Na szczęście po jego zmianie parafianie mogli rozpocząć działania. Do końca nie wywiązali się ze swych zobowiązań, ale teraz już było wiadomo, że i w tej wiosce drzemią spore możliwości i nie brakuje tam ofiarnych serc, które chcą być ze swymi kapłanami. To było bardzo cenne doświadczenie.

* * *

Im bliżej było do zakończenia budowy, tym więcej mieliśmy niespodzianek. W trakcie prac zyskaliśmy wsparcie jednego z najbogatszych ludzi w mieście. Był chińskim metysem i katolikiem. Posiadał firmę, która zajmowała się budową dróg. Użyczył nam maszyn i pracowników, aby z niewielkiej i zaniedbanej ścieżynki zrobić porządną drogę, po której spokojnie i bez ryzyka mógł wjechać na wzgórze nawet większy samochód. Na samą uroczystość poświęcenia grotty chciałem pożyczyć od innego Chińczyka generator prądu na ropę. Zgodził się, a na moje pytanie o należność, odpowiedział, że

to nie będzie nas dużo kosztować. Już po zakończeniu świętowania, gdy chciałem uregulować opłaty, powiedział, że „wszystko jest już dobrze”.

W całej puli środków finansowych zostało nam nawet trochę pieniędzy, tak że mogliśmy jeszcze zakupić dorodnego byka. Jakikolwiek święto malgaskie bez ściętej głowy bawoła nie wybrzmiałoby w odpowiedni sposób. Do każdej rodziny musi trafić skrupulatnie dzielona, choćby w symbolicznej ilości, garść mięsa. To symboliczny udział żywego uczestnictwa w każdym ważniejszym świętowaniu. Tym razem byk był oporzędzany na wzgórzu przez wyznaczoną grupę kobiet reprezentujących wszystkie wioski naszej parafii.

* * *

4 października 2009 roku. Przyszedł w końcu upragniony dzień inauguracji i poświęcenia grotty. Na tę uroczystość przybywa oczywiście nasz pasterz diecezji, bp Antoine Scopelliti. Z dalekiej Mananjary, siedziby werbistów, dojeżdża również delegacja współbraci z ojcem regionałem, Piusem Pandaim SVD na czele.

Robię kolejną rundę land roverem na wzgórzu. Od samiuńskiego rana ściągają tam delegacje wszystkich naszych wspólnot. Wszyscy są odświętnie ubrani i panuje podniosła atmosfera. Przywożę kilka nowych garnków, które obiecałem kobietom. Nieopodal, na tyłach grotty, już od rana gotują się niezliczone naczynia z malgaskim ryżem. Garnki stoją majestatycznie.

Ustawione w prostych rzędach co chwilę syczą i postukują pokrywkami. Nad każdym unosi się niewielki dym. Kobiety witają mnie entuzjastycznie. Co chwilę doglądają zawartości. Zaraz wszystko będzie tylko dogasać. Wszyscy zgromadzą się wokół grotu.

Grupy dzieci i młodzieży pośpiesznie ćwiczą jeszcze w grupkach swoje role, które odświętnie odegrają zarówno podczas skrzętnie przygotowanej liturgii, jak i po niej. Spotykam mężczyzn zebranych na poboczu. Wystrojeni w marynarki i kapelusze, których nigdy nie widziałem.

– Udało się nam, ojcze! Dzień dobry! – wita mnie z radosnym okrzykiem jeden ze starszyzny z wioski Ampitatsimo.

– Udało się! Dzięki Bogu! *Manahoana daholo!* – odpowiadam, ciesząc się niezmiernie na ich widok.

Witam każdego mężczyznę, ściskając każdą rękę. Każdy uśmiech to historia wielu wspólnych wysiłków. Dzisiaj Pan Bóg daje nam przeżyć to, co do niedawna nie śniło się nikomu.

– Jedzie biskup! – oznajmia biegnący Julien, nasz starszy ministrant.

Ruszam i dołączam do Louisa. Razem witamy bp. Antoine'a. On również nie ukrywa swojej radości. Cały promienieje. Jest zaskoczony tłumami, które ściągnęły na wzgórze. Najbardziej zaskakują nas delegacje

grup maryjnych z pozostałych czterech parafii miasta Ambatondrazaka. Kobiety i mężczyźni ubrani w jednolite barwy, biało-niebieskie, wyróżniają się z tłumu. Wielu ludzi jest po prostu odświętnie ubranych na miarę swojej zamożności.

Powoli formuje się procesja i rozpoczynamy liturgię uroczystej Mszy świętej. Słońce przykryte jest nieznacznie chmurami, co należy uznać za zbawienne. Nie zdołaliśmy zbudować żadnego zadaszenia. Wszyscy zgromadzeni jesteśmy pod gołym niebem. W powietrzu wisi niezwykła aura podniosłości wydarzenia. Każda część liturgii Słowa jest pieczołowicie przygotowana. Zaczyna się tańcem i procesją wprowadzenia Słowa Bożego. Podana Biblia z ołtarza przez biskupa wędruje w miejsce, z którego młodzież rusza, prowadząc przygotowanym układem tanecznym młodzieńca niosącego majestatycznie uniesiony Ewangeliarz.

W swojej homilii bp Antoine Scopelliti wypowiada ważne dla wszystkich słowa.

– Myślicie, że nie wiem o wszystkich problemach, które towarzyszyły wam od początku budowy tej pięknej grotty? – pyta prowokacyjnie. – Wasi kapłani, ojcowie Louis i Krzysztof, na bieżąco informowali mnie o kolejnych krokach tego przedsięwzięcia. Niczego nie pomijali. Jest mi znany fakt, że do dziś nie znalazł się odważny, aby przebywać na tej górze nocą, nawet w szlachetnym zadaniu pilnowania narzędzi...

Tu wypowiedź biskupa przerywają gromki śmiech i brawa zgromadzonych.

– Słyszycie, że wiem o wielu sprawach – zapewnia z żartobliwym uśmiechem. – Chcę was jednak uroczyście zapewnić... – Zawiesza głos na chwilę i spogląda na panoramę rozpościerających się dalej gór, ryżowisk i pobliskiego miasta. – Nie macie odtąd czego się obawiać. To miejsce od dziś jest szczególnie powierzone Matce Bożej! Ona pragnie, abyśmy do Niej przychodzili. Ona pragnie nieść wszystkie nasze modlitwy do swojego Syna, a przez Niego do Miłosiernego Ojca. Dzisiejszy akt poświęcenia tego miejsca inauguruje nową historię nie tylko waszej parafii pw. św. Tamaro i całego dystryktu Anosindrafo, któremu przewodzą ojcowie werbiści. Mam nadzieję, że to miejsce będzie bliskie sercu wielu katolików naszej diecezji, którzy przybędą tutaj do stóp Maryi. – Doniosłym głosem akcentuje biskup.

Zebrany tłum odpowiedział entuzjastycznie brawami, okrzykami radości, tak bardzo charakterystycznymi dla tego regionu Alaotra. Doniosła liturgia trwała jeszcze dobrą godzinę. Po Komunii św. do głosu zaproszono naszego ojca regionala, Piusa Pandai SVD. Jest on jednym z czterech pierwszych werbistów, którzy w 1989 roku przybyli na Madagaskar. Odniósł się do ciekawego spostrzeżenia.

– Chociaż to nie było nigdy naszą przypisaną regułą, tutaj, na ziemiach Madagaskaru, każdą para-

fię (dystrykt) w jakiś przedziwny i naturalny sposób oddawaliśmy pod opiekę nie tylko Trójjedynego Boga, lecz także w ręce Matki Bożej. Naszą pierwszą parafię w diecezji Mananjary przejęliśmy 7 października, 19 lat temu. W każdym dystrykcie, w którym pracowaliśmy, staraliśmy się wybudować maryjną grootę, do której organizuje się pielgrzymki wszystkich wiernych do Matki Bożej. Dziękuję moim współpracownikom za podjęty z wami trud i za to, że kontynuują tę piękną tradycję.

Posypały się kolejne brawa i okrzyki radości. Osobiście poczułem się jakoś niesamowicie lekko. Oczy mi się zaiskrzyły i byłem bardzo szczęśliwy, że Pan Bóg postawił mnie właśnie na tej ziemi i z tymi ludźmi.

Po Mszy św. wszyscy obecni bez wyjątku uraczeni zostali przygotowanym posiłkiem. Emocji było tyle, że nie siedziałem w jednym miejscu. Wziąłem w rękę miskę z ryżem i chodziłem po wzgórzu, przysiadając się do różnych grup z naszej parafii. Już w czasie posiłku przy grocie przygotowano miejsce na uroczyste występy. Żadne wielkie święto nie odbędzie się bez tradycyjnych *kilalao*. Dzieci i młodzież rozpoczęły taneczne popisy. Co chwilę skandowano, dopingując kolejne grupy.

W tym czasie na naszej misji przebywał Arek Ziamba. Jest podróżnikiem i organizatorem wycieczek na Madagaskarze. Tym razem wybrał się samotnie w drogę, rowerem na skróty, aby mnie odwiedzić. Cała wyprawa kosztowała go wiele przygód. Utknął

w Ambatondrazace na cały tydzień. Leczył nogę, którą zaatakowała groźna bakteria. Jest również dobrym fotografem. Dla Arka nasza uroczystość to też egzotyczna przygoda. Chodzi z zabandażowanym piszczelem i przemieszcza się z aparatem. Dzięki jego obecności pozostało mi wiele pięknych pamiątek, które m.in. uwieńczają poświęcenie groty.

– Chodźcie! Musimy sobie zrobić pamiątkową fotografię – rzucam do grupy MDMK, za którą jestem odpowiedzialny.

– Oczywiście! – odpowiada ochoczo Madame Rozety. – Hej! Zbierajcie się tutaj! Robimy fotografię z ojcem Krzysztofem! – wykrzykuje do swojej grupy.

Wchodzimy małymi schodkami na wyeksponowany taras wybudowany przed figurą Maryi. Z góry jeszcze lepiej widać cały tłum, który zgromadził się na wzgórzu. Szare chmury przykrywają coraz mocniej niebo i zbiera się na mały deszcz. Te szare kolory nie wpływają jednak na nasz nastrój. Przeciwnie. Niesieni niecodziennymi emocjami stajemy radośnie do zdjęcia, które dla mnie staje się pamiątką tych wydarzeń.

Z drugiego brzegu ■

– Prowadź! Gdzie oni mieszkają? – rzucam do mojego współpracownika, szefa jednej z dzielnic naszej parafii. – Jest mi bardzo przykro, że najbiedniejsze dzieci nie zostały włączone do programu pomocy, a wasze wcisnęliście na listę! – dodaję zdenerwowany.

– Wybacz, ojcze – odpowiada ze spuszczoną głową Gervais. – Tu każdy uważa się za biednego.

Pospiesznie wędrujemy między małymi ceglanymi domkami pokrytymi blachą. Schodzimy ze wzgórza, idąc wzdłuż prostych ogrodzeń z bambusa. Nagle wchodzimy na dziwne podwórko z niskim budynkiem pośrodku. Mój przewodnik zatrzymuje się i ręką wskazuje coś na kształt małego chlewika.

– Nie czas na żarty, Gervais, prowadź dalej! – ponaglęm.

– To tutaj, ojcze! – odpowiada.

– No, nie mów... – Urywam, bo trudno mi to sobie wyobrazić.

Jesteśmy zatem na miejscu. W dawnym kurniku, gdzie kiedyś trzymano ptactwo domowe, teraz mieszka rodzina. Gervais podchodzi do tylnej części budynku i puka w kilka zbitych desek zasłaniających dziurę prowadzącą do środka.

– Hodio! – nawołuje tradycyjnym zwyczajem. Czekamy. Po chwili dłoń ze środka przesuwa pokrywę. Na czworakach wynurza się niewysoka kobieta i podaje nam rękę. Nie dowierza, że chcę wejść do środka. Bardzo o to proszę. Nie ufam już nawet swoim ludziom. Chcę na własne oczy przekonać się, w jakich warunkach żyje ta pominięta rodzina. To tak naprawdę matka z sześciorgiem dzieci. Okazało się, że troje najstarszych jest w wieku szkolnym, ale żadne nie podjęło edukacji. Kobieta pozostawiona przez swego męża boryka się ze straszną biedą.

Wchodzimy do środka. Na kolanach. Przeciskamy się przez ledwo oświetlone pierwsze pomieszczenie. Aby wejść do drugiego, głównego pomieszczenia, ponownie musimy iść na kolanach. Kobieta w totalnej ciemności znajduje zapalki i zapala małą naftową lampkę zrobioną z puszki po koncentracie pomidorowym. W rogu pokoju leży trochę szmat. W drugim, na sianie i rozłożonym materiale, śpi najmłodsze dziecko. Niemowlak. W trzecim rogu stoi garnek, a za nim kilka emaliowanych naczyń. Ot, cały dobytek siedmioosobowej rodziny.

Dowiaduję się, że mieszkają tutaj już trzeci rok. Za drobne pieniądze kobieta wynajęła ten kurnik od sąsiadów. Proszę mojego współpracownika, aby zebrał potrzebne dane dzieci i ustalił, do której szkoły będzie można je posłać. W ten sposób powoli zapełniała się lista stu dzieci. Dzięki Stowarzyszeniu Missio Misericordiae i pośrednictwu mojego współpracownika o. Zdzisława Grada

otrzymywałem dofinansowanie do edukacji. Szła za tym również modlitwa „duchowych adopcyjnych rodziców”.

Na początku problem braku edukacji nie był widoczny. Z czasem jednak coraz częściej napotykałem dzieci, które się nie uczyły. W ciągu dwóch lat mojej pracy w diecezji Ambatondrazaka zorganizowałem lokalną grupę Ezaka Iombonana (Wspólne Poruszenie). Bardzo szybko rodzice dzieci, którym pomagaliśmy, stali się wspaniałymi i zaangażowanymi parafianami. To oni wybudowali nam toaletę-wychodek. Wspólnie zbudowaliśmy salę do katechez oraz odmalowaliśmy nasz kościół.

Dzięki pomocy często bezimiennych ofiarodawców z Polski cierpienie wielu rodzin stawało się początkiem dobra. Z tego powodu, gdy wchodziłem do wielu domów, słyszałem, że również ja jestem rodzicem. Po doświadczeniu z rodziną „z kurnika” postanowiłem odwiedzać domy dzieci, którym pomagaliśmy. To było jedno z najwartościowszych doświadczeń mojego życia. Początkowo myślałem, że to ja przynoszę im Jezusa. Po pewnym czasie zrozumiałem jednak, że On był tam wcześniej.

Nigdy nie zapomnę uśmiechów bliźniaków Flavia i Flavien. Ich zachowanie zupełnie zmieniło się po pierwszym roku nauki w szkole. Dzięki pani Małgorzacie z Polski, która przymusiła mnie do poszukania informacji o dziewczynce Shakinah, lepiej poznałem los

mojej małej parafianki. Ona również pewnego dnia się uśmiechnęła. Dziesiątki takich historii noszę w sercu.

Dziś, gdy już pracuję w Polsce, nie zapominam o Madagaskarze. Nie potrafię wymazać tej części misji z mojego osobistego doświadczenia. Teraz jednak pomagam inaczej. W wielu miejscach i przy różnych okazjach opowiadam o misyjnej pracy werbistów, projektowałem kalendarze z fotografiami z misji, pomogłem w budowie dwóch kościołów w parafii Anosindrafilo. I wciąż planuję nowe działania.

Wiele razy wracam do modlitwy za misjonarzy. Wielokrotnie odczuwałem jej wsparcie, będąc tam. Teraz staram się ją zapewnić z „drugiego brzegu”. Często chwytam za różaniec i już wiem, jak mam działać. Maryja bowiem najlepiej dba o misję swojego Syna i Jego reprezentantów.

O. TOMASZ LASKOWSKI SVD

Werbista, misjonarz, z wykształcenia technik górnik. Po studiach w Misyjnym Seminarium w Pieniężnie przez 15 lat pracował w Republice Demokratycznej Konga, a następnie rok w Republice Czadu. Od 2019 r. w Polsce w prowadzonej przez werbistów parafii Królowej Apostołów w Rybniku posługuje jako katecheta.

Kapitan Djela ■

Djela był komendantem policji w Kenge, miasteczku położonym w zachodniej części Demokratycznej Republiki Konga. Z racji swojej funkcji potrafił być surowy. Wobec kradzieży był bezwzględny, ale wysokie kary wymierzał też za drobne wykroczenia czy za zwykłe kłótnie rodzinne, o których donosił mu ktoś z tzw. życzliwych sąsiadów. Był rygorystyczny i wsadzał wielu ludzi do miejscowego więzienia. Nie obchodziło go jednak to, że nie było tam miejsca nawet dla połowy z tych więźniów, ani łóżek, ani jakiegokolwiek wyżywienia. To wszystko może nie byłoby jeszcze tak dziwne, gdyby nie to, że miejscowa ludność podejrzewała go, iż w celu szkodenia innym używał magii. Pochodził z plemienia Tetela, w którym tradycyjnie panuje wielożeństwo. Miał 10 żon i 110 dzieci, był także właścicielem haremu, czyli wielkiej zagrody, w której każda z tych żon miała swój domek.

Tak się złożyło, że z racji piastowanego stanowiska współpracował z naszą misją. Podczas większych uroczystości parafialnych, meczów, koncertów czy innych wydarzeń kulturalnych prosiliśmy go, żeby wysyłał policjantów w celu zapewnienia ludziom bezpieczeństwa. Przy tych okazjach kapitan mógł przyjrzeć się z bliska naszej pracy, a nawet czasami usiąść w naszej jadalni i przy szklance wody porozmawiać luźno na wszystkie interesujące go tematy. Słyszał, co mówimy o Bogu,

wiedział też, jak pomagamy ludziom w okolicy. Szczególnie dokładnie śledził pracę naszej grupy „Przyjaciele więzienia”, której koordynatorką była pierwsza z jego żon. My w zasadzie robiliśmy to, co do nas należało, co powinien zrobić każdy misjonarz.

Na naszej misji w Kenge pracowaliśmy we troje: o. Willy, misjonarz z Niemiec, który pracował tam już od 40 lat (miał duże doświadczenie pracy w Kongo i innych krajach afrykańskich), o. Loi (z Filipin) i ja. Willy od samego początku uczył nas, że najważniejsze jest głoszenie Chrystusa, ale trzeba Go głosić, troszcząc się o całego człowieka. Nie można się troszczyć o duszę, jeśli nie zadba się o ciało i odwrotnie. Dlatego, gdy odwiedzaliśmy 93 wioski należące do parafii, żeby odprawić tam mszę świętą i przygotować ludzi do sakramentów, organizowaliśmy też różne akcje dla ludzi. Uczyliśmy ich ulepszania technik uprawy, żeby mogli mieć więcej pożywienia i żeby ich jedzenie było bardziej odżywcze. Pokazywaliśmy, jak mogą zrobić staw hodowlany, by zapewnić ich rodzinom ryby, które mogliby sprzedać i w ten sposób zdobyć pieniądze na szkołę czy lekarstwa dla dzieci. Zawoziliśmy do wiosek prawników, żeby uczyli ludzi o ich prawach, a także jak nie dać się oszukać przez lokalne władze. Organizowaliśmy warsztaty stolarskie dla młodzieży, aby miała jakiś zawód i mogła utrzymać swoje rodziny. Ogólnie robiliśmy wszystko, co tylko możliwe, żeby ludziom żyło się lepiej. Pamiętam, że kiedyś nawet nauczyłem czytać grupkę dzieci. To

bardzo zdziwiło ich rodziców, bo byli oni przekonani, że ich pociechy nie są inteligentne. Tym większe było ich zdziwienie, kiedy po trzech miesiącach nauki czytały one Słowo Boże na mszy w kościele. Po tej akcji zacząłem też uczyć czytać nauczycieli, gdyż okazało się, że wielu z nich miało z tym problemy.

Być może coś w naszej postawie lub w naszych działaniach poruszyło kapitana Djela, bo zaczął chodzić codziennie na poranną mszę do naszego kościoła, mimo że mieszkał kilka metrów od innego kościoła w Kenge. Coś sprawiło, że Bóg dotknął jego serca i zrodziło się w nim pragnienie modlitwy. Każdego dnia po południu spędzał przynajmniej godzinę w grocie Matki Bożej na osobistej cichej modlitwie. W pewnym momencie Djela zapragnął zostać chrześcijaninem, chciał przystępować do sakramentów i wziąć ślub kościelny. Ale jak to zrobić?

Wymyślił, że poślubi jedną żonę, a pozostałe odprawi. Pojawilo się jednak pytanie, którą ma wybrać. Miał przez chwilę pomysł, że zostawi je wszystkie i weźmie zupełnie inną, którą poślubi w kościele. Musieliśmy zareagować. Powiedzieliśmy mu, że tego nie może zrobić, bo wiążąc się z nimi, wziął za nie odpowiedzialność, a szczególnie za wszystkie ich dzieci.

Zrozumiał wyjaśnienie. Wybrał pierwszą z żon, która w kulturze Tetela zawsze jest tą uprzywilejowaną, i starał się być jej wierny, ale nadal troszczył się o pozostałe.

Zaakceptował swoją sytuację, która nie pozwalała mu przystąpić do komunii, starał się jednak bardzo angażować w dobroczynność. To stało się jego drogą do spotkania Jezusa na co dzień. Zaczął przeznaczать dużo pieniędzy na pomoc ludziom. Troszczył się o tych, którzy stracili dom, o chorych, którzy nie mieli pieniędzy na szpital, o starszych, którzy z powodu braku sił nie mogli pracować na polu, żeby zapewnić sobie codziennie jedzenie. Rozdawał nawet co niedziela pieniądze więźniom, aby mogli przeznaczyć je na przybory toaletowe czy inne codzienne potrzeby. Djela przeszedł długą drogę, wielki rozwój w wierze. To dla nas coś niesamowitego, wielka łaska, móc się przyglądać, jak Pan Bóg przemienia ludzkie serca.

O. DARIUSZ PIELAK SVD

Misjonarz Zgromadzenia Słowa Bożego. Pracował w Rosji, głównie w Moskwie. Wcześniej był misjonarzem w Argentynie, Hiszpanii i Urugwaju. Jest wykładowcą Pisma Świętego i znawcą duchowości założyciela werbistów, św. Arnolda Jansseny.

Tryumf życia nad śmiercią ■

To było chyba w 1987 roku. Byłem wtedy w seminarium w Nysie. Przyjechał do nas taki miły dziadzio i opowiadał o swoim życiu i pracy misyjnej w Indiach. Z jego opowiadania zapamiętałem dwie historie.

Pierwsza dotyczyła jego pracy z trędowatymi. Ojciec Marian² takim dobrym, ciepłym głosem mówił o tym, jak zbierają z ulicy chorych ludzi, jak wożą ich do leprozorium. Byliśmy zasłuchani. A mówił mniej więcej tak: „Podjeżdżasz ambulansem do człowieka, który leży na ulicy. Nie może się już ruszać, zżerają go robaki, unosi się od niego nieprzyjemny zapach. I wtedy mówisz sobie: «To jest Chrystus!»”.

W naszych sercach aż powiało mistycznym porywem. Nagle ożyła przed naszymi oczyma Ewangelia w najczystszej postaci. Słowa Jezusa: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25,40). I pewnie w wielu sercach pojawiło się pragnienie: „Ja też tak chcę służyć Chrystusowi”. A wtedy o. Marian takim samym dobrym, spokojnym tonem, bez cienia ironii czy chęci rozbawienia nas, ale raczej z pokorą, której nauczyło go trudne życie, dodał: „Ale czasami musisz sobie to powtórzyć

² Sł. Boży o. Marian Żelazek SVD, więzień obozów koncentracyjnych w Dachau i Gusen. Misjonarz pracujący w Indiach, niosący pomoc trędowatym, biednym i odrzuconym. Nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla.

dwa razy”. Wtedy zrozumieliśmy, że jest człowiekiem świętym, a w dodatku świętym z krwi i kości. To znaczy, że nieobce mu są typowe dla zwykłego człowieka walki i rozterki.

Świadectwo świętości życia o. Mariana jest tym silniejsze, że przeszedł on przez piekło obozu koncentracyjnego w Dachau. O ile tylko pozwalały mu na to okoliczności, miał zwyczaj jechać tam za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do Europy. W czasie jednej z wizyt spotkał tam pewną Amerykankę. Kobieta zapytała go o coś związanego z obozem. On jej odpowiedział. Potem spytała o coś jeszcze i o coś jeszcze. Znajomość tematu, jaką wykazywał się o. Marian, bardzo ją zaskoczyła. W końcu zadała mu pytanie:

– A pan tu pracował jako przewodnik? Ma pan ogromną wiedzę.

– Nie – odpowiedział o. Marian. – Ja tu byłem.

Biednej kobiecie nie mieściło się w głowie, że może rozmawiać z byłym więźniem, więc zapytała:

– Gdzie pan był? Mieszkał pan w miasteczku?

– Nie, ja tu byłem więźniem w obozie – odparł o. Marian.

Amerykanka z ogromnym zdziwieniem spytała:

– Jak pan może tu wracać? Przecież wyście tu umierali!!!

– Tak! Ale też zmartwychwstawaliśmy! – Spokojnym głosem powiedział o. Marian.

Jaką głębię włożył w te słowa, to z pewnością wie tylko on sam. Jego powołanie dojrzywało w ekstremalnych warunkach. Śluby zakonne odnawiali przy krematorium, głosząc chyba tym samym ostateczny tryumf życia nad śmiercią. I z taką siłą pojechał później na misje.

Jego pokorna posługa zasłużyła na uznanie w oczach świata do tego stopnia, że został kandydatem do Pokojowej Nagrody Nobla. Kandydaturę wysunął indyjski parlament, a poparł polski Sejm. W uzasadnieniu podkreślono jego posługę trędowatym. Szkoda, że nie podkreślono świadectwa nadziei, której nie zabił w nim nawet obóz koncentracyjny.

Nie wspomniano też o bardzo ważnym aspekcie dialogu. Ojciec Marian oprócz leprozorium zbudował również centrum dialogu. I chyba najlepszym komplemtem tego aspektu jego działalności są słowa jednego z jego przyjaciół, hinduistycznego duchownego, który miał powiedzieć: „W następnym wcieleniu chcę być kapłanem katolickim”.

O. ANDRZEJ ZALEWSKI SVD

Kapłan Zgromadzenia Słowa Bożego. Misjonarz w Rosji. Posługiwał w Sankt Petersburgu i Kaliningradzie. Obecnie przebywa we wspólnocie Domu Misyjnego w Kleosinie. Jest duszpasterzem grekokatolików na Podlasiu. Wytrwały poszukiwacz śladów unitów na wschodnich terenach Polski.

Z siostrą Stellą pojechaliśmy do małej wioski Gusiewo, oddalonej 80 km od Kaliningradu, do jednej z naszych wiernych. Byliśmy wielką sensacją, ponieważ tutaj jeszcze nikt księdza i zakonnicy nie widział. Ludzie wychodzili z domu, aby na nas popatrzeć, gdy wysiadaliśmy z samochodu. Pani Swietłana poprosiła, abym poświęcił jej dom, a potem przy herbacie opowiedziała nam, jak bardzo kocha Kościół katolicki. Bardzo płakała i mówiła, że bardzo jej go brakuje. Chciałaby być na mszy świętej. Powiedziała, że w roku 2012 po raz pierwszy od 20 lat była na pasterce w Boże Narodzenie i to było dla niej ogromne przeżycie. Pani Swietłana dużo modli się w domu. Naokoło niej żyją tylko ludzie niewierzący. Do tego stopnia, że kiedy zaczyna rozmawiać z kimś o Bogu, to ludzie robią wielkie oczy i pytają: „Kto to taki?”.

Panią Swietlanę wychowywał dziadek komunista. Zamykał ją w pokoju, aby nie chodziła do kościoła, a ona uciekała, by móc być na mszy świętej. Potem księdza wywieziono na Syberię. Opowiadała również, że kiedyś nie było książeczek, z których można byłoby się nauczyć modlitw. Dlatego, żeby je zapamiętać, zapisywała je na kartce, którą potem ozdabiała. Kiedyś do wioski potajemnie przyjechał ksiądz i rozdał dzieciom maleńkie czarno-białe obrazeczki z Matką Boską. W domu zrobiła

ołtarzyk z tym obrazkiem i przed nim się modliła. Jej dziadek wszystko to spalił.

Po tylu latach prześladowań, nawet ze strony najbliższych, nie wyobraża sobie życia bez Boga, bez Kościoła. Pani Swietłana podzieliła się z nami również pięknym świadectwem swojej wiary. Otóż, będąc w ciąży, pewnego razu jechała na rowerze z wioski do wioski, polnymi drogami. Wioski były oddalone od siebie jakieś 30 km. I w połowie drogi dostała krwotoku i poroniła. Leżała cała we krwi na polu i o mało się nie wykrwawiła. Mówi, że pamięta tylko, że modliła się słowami: „Boże, ratuj”. Na tej polnej drodze znalazł ją jadący konno mężczyzna. Zabrał ją do wioski i dzięki temu żyje. Jak się potem okazało, mężczyzna ten opowiadał, że jechał całkiem inną drogą i w innym kierunku. Ale poczuł coś dziwnego, coś go przynagliło, aby zawrócić i wjechał w tę polną drogę, gdzie znalazł zakrwawioną kobietę. Pani Swietłana mówi, że dzisiaj wie, iż to sam Bóg sprawił, że ten mężczyzna ją odnalazł.

W drodze powrotnej zajechaliśmy do sklepu, siostra i ja byliśmy w habitach. Ekspedientka zapytała, czy jesteśmy katolikami. Szukała ich, ale nikt nie wiedział, czy taka sekta jest. Niestety tak jesteśmy tu postrzegani, ponieważ tylko sektanci spotykają się po domach i nie mają swoich świątyń. Ekspedientka powiedziała, że rodzice ochrztili ją w kościele katolickim, ale to była ostatnia rzecz związana z Bogiem. Poprosiła o różaniec dla mamy, podała numer telefonu i adres i prosiła, aby do nich przyjechać.

Katolicka turystka ■

Tej nocy spałem w Kaliningradzie w parafii pw. Świętej Rodziny. Rano przyjechała po mnie siostra Stella. Zabrałem Jezusa z tabernakulum i pojechaliśmy do babuszki. Pani Anna czekała na nas w drzwiach, pięknie po polsku przywitała się ze mną słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Byłem zszokowany, a i siostra nic mi wcześniej nie powiedziała. Pomodliliśmy się po polsku, a po komunii pani Anna koniecznie chciała, abyśmy chwilę zostali i z nią porozmawiali.

Dowiedziałem się, że pochodzi z terenów dzisiejszej Białorusi i że ukończyła cztery klasy polskiej szkoły. Jej dziadkowie zostali zesłani na Syberię i jej również to groziło. Władza komunistyczna nazwała ich kułakami – dla niewtajemniczonych kułakami nazywano właściciela lub użytkownika dużego gospodarstwa rolnego, który zatrudniał najemną siłę roboczą. Znaczenie słowa było wyraźnie pejoratywne, propagowało obraz kułaka jako wyzyskiwacza chłopów i wroga proletariatu. Ojciec pani Anny, wiedząc o tym, wykopał w polu ziemiankę i ukrył tam jedenaścioro swoich dzieci, sam zaś za kilka dni został wywieziony na Syberię. Rodzinie zabrano wszystko, co posiadali. Połowa z tych dzieci zmarła z głodu. Pani Anna opowiadała, że chciała zacząć pracę w kołchozie, ale nikt jej nie chciał przyjąć. Wszyscy nazywali ją kułaczką. Na szczęście znalazła się pewna starsza kobieta, która nakrzyczała na kierownika

kołchozu, jak śmie śmiać się z tego biednego dziecka, co ona jest winna, że ojciec jest kulakiem, przecież ona nic jeszcze nie rozumie. W ten sposób zaczęła pracę w kołchozie.

Przez całe życie pielęgnowała swoją wiarę, nawet otrzymała sakrament bierzmowania, a swoje dzieci wywoziła na Ukrainę do Żytomierza i tam je potajemnie chrzciała. Księża w Kaliningradzie nazwali panią Annę Turystką, ponieważ co niedziela jechała 200 km, aby być na mszy świętej. Pani Anna dziś ma 88 lat i mówi, że czeka na ciepłe dni, by móc jechać do kościoła. Na odchodne powiedziała, że modli się tylko w języku polskim, ponieważ tak się modlili jej rodzice i dziadkowie.

Pani Ania ■

W Kaliningradzie prawie 70% mojej parafii to była jedna rodzina – babcia Stefania, jej dzieci, wnuki i prawnuki. Wszyscy przychodzili na niedzielną liturgię i w święta. Pani Stefania, najstarsza w rodzinie, nikomu nie darowała nieobecności. Ale jako pasterz tej wspólnoty mogę zaświadczyć, że wszyscy przychodzili i z wielką radością uczestniczyli w nabożeństwach. Czasami żartowali, że jestem ich rodzinnym kapłanem. Pani Stefania żyła ze swoją córką Anią, wnuczką Oksaną i prawnuczkiem Gabrielem. Historia tej rodziny jest naznaczona wielkim cierpieniem. W latach 50. pani Stefania wraz z mężem została deportowana z Ukrainy przez władze ZSRR do Kazachstanu, gdzie przez 40 lat żyli w ziemiance bez prawa opuszczania tego miejsca. Stefania w tej dziurze w ziemi urodziła dziewięcioro dzieci. W roku 2013 cała rodzina przeprowadziła się do Kaliningradu, gdzie na nich czekałem już ja.

Historia pani Ani to piękne świadectwo miłości Boga i bliźniego. Pewnego dnia przyszła do mnie Oksana. Skarżyła się na mamę, która sprowadzała do domu wszystkich bezdomnych i przybłądy, co powodowało, że w domu było tłoczno i śmierdziało. Poprosiła, bym z nią porozmawiał. Po niedzielnej liturgii zatrzymałem panią Anię i zapytałem dlaczego córka się na nią złości. Pani Ania to człowiek wielkiego serca. Całą młodość mieszkała w ziemiance, bardzo ubogo, i wspomina,

że mimo iż było ich w tym dole dziewięcioro, to ojciec, który pracował w tajdze, zawsze przyprowadzał na nocleg jakichś bezdomnych, głodnych i samotnych, niektórzy mieszkali u nich nawet kilka lat. Kiedy więc ona idzie ulicą i widzi bezdomnego, to nie może przejść obojętnie, bierze go za rękę i prowadzi ze sobą, daje możliwość umycia, nakarmi, a jeśli może, to i ubierze. Zimą sień i korytarz prowadzące do domu usłane były bezdomnymi.

Płaczę, kiedy to piszę, bo tak wielkiego miłosierdzia i litości do ludzi nigdy nie widziałem. Ja, kapłan, pięknie ubrany, czysty i pachnący dotychczas nikogo nie przyjąłem pod dach. Od tamtej lekcji pani Ani udało mi się, czy raczej odważyłem się przyjąć do siebie dwóch bezdomnych. Pani Ania w taki sposób ocaliła już wielu ludzi, bo często była pierwszą osobą, która okazała im miłosierdzie, co powodowało chęć zmiany życia przez tych ludzi. Był nawet jeden pan Mikołaj, który dzięki pani Ani przychodził co niedzielę na liturgię, mimo że był bezdomny. Pani Ania zawsze miała dla niego w kaplicy w pogotowiu czyste ubranie, aby mógł się w nie przebrać. Jestem dumny, że w mojej parafii jest tak wspianały człowiek, gdyż, jak mówi Jezus: „wszystko cokolwiek uczyniliście jednemu, mnieście uczynili”.

Spis treści

O. MACIEJ BARON SVD	4
■ Miecz w cielsku gadziny	5
O. ANTHONY ERRAGUDI SVD	10
■ Wikingowie w poszukiwaniu wiary . . .	11
O. ANDRZEJ FECKO SVD	17
■ 360	18
O. KRZYSZTOF GRZYBEK SVD	24
■ Alicja	25
■ Potajemnie	37
O. KRZYSZTOF KOŁODYŃSKI SVD	45
■ Wzgórze Maryi	46
■ Z drugiego brzegu	64
O. TOMASZ LASKOWSKI SVD	68
■ Kapitan Djela	69
O. DARIUSZ PIELAK SVD	73
■ Tryumf życia nad śmiercią	74
O. ANDRZEJ ZALEWSKI SVD	77
■ Tęsknota	78
■ Katolicka turystka	80
■ Pani Ania	82

Święty Arnold Janssen pragnął, aby Ewangelia Bożej Miłości dotarła aż na krańce świata. Realizując tę myśl, w latach 1875–1889 założył trzy misyjne zgromadzenia zakonne:

Zgromadzenie Słowa Bożego (łac. *Societas Verbi Divini – SVD*) jest męskim misyjnym zgromadzeniem zakonnym. Potoczna nazwa werbiści pochodzi od łacińskiego *verbum*, czyli słowo. Charyzmatem jest głoszenie Słowa Bożego tam, gdzie o nim jeszcze nie słyszano, i przygotowywanie liderów Kościoła lokalnego do samodzielnej pracy ewangelizacyjnej.

Zgromadzenie Misyjne Służebnic Ducha Świętego (łac. *Congregatio Missionalis Servarum Spiritus Sancti – SSpS*) jest żeńskim misyjnym zgromadzeniem zakonnym. Podstawowym celem jest posługa misjonarska: ewangelizacja, szkolnictwo na wszystkich szczeblach, służba zdrowia, obozy uchodźców, osoby uzależnione.

Zgromadzenie Sióstr Służebnic Ducha Świętego od Wieczystej Adoracji (łac. *Congregatio Missionalis Servarum Spiritus Sancti – SSpSAP*) jest żeńskim klauzurowym zgromadzeniem zakonnym. To zakon kontemplacyjny, siostry żyją w ścisłej klauzurze, a głównym charyzmatem jest modlitwa wstawiennicza, zwłaszcza w intencji misjonarzy i misjonek. W sercu życia zakonnego jest nieustanna adoracja Najświętszego Sakramentu.

Dom Misyjny św. Kazimierza w Kleosinie to jedna z kilkunastu placówek Polskiej Prowincji Zgromadzenia Słowa Bożego na terenie Polski. Prowadzimy działalność misjonarską i duszpasterską. Jesteśmy wsparciem dla współbraci posługujących poza granicami Polski.

Pracę misyjną naszego Zgromadzenia można wspierać, m.in. zamawiając **Misyjne Wieczyste Msze Święte**. Odprawiamy je codziennie, bez przerwy i zawsze. Każdego dnia odprawia się 7 Mszy Świętych, w których udział ma wpisana osoba, nawet po śmierci. Można wpisać osoby żyjące i zmarłe, podając imię i nazwisko:

- ∠ dzieci, aby uprosić łaskę dobrego wychowania,
- ∠ chorych, aby uprosić łaskę zdrowia,
- ∠ stojących z dala od Boga, aby uprosić łaskę wiary,
- ∠ zmarłych, aby wybłagać łaskę nieba.

Ponadto Polska Prowincja Zgromadzenia Słowa Bożego wydaje ilustrowany miesięcznik „**Misjonarz**”. Zawiera on artykuły, wywiady i reportaże z terenów misyjnych, listy od osób prowadzących pracę ewangelizacyjną na wszystkich kontynentach.

Wszystko zaś po to, aby realizować wezwanie założyciela św. o. Arnolda Janssen: „Niech żyje Święty, Trójjedyny Bóg w sercach naszych i w sercach wszystkich ludzi!”.